



STEFAN ŻEROMSKI  
DLA MŁODZIEŻY  
KSIĄŻKA PIERWSZA



Printed in Poland





STEFAN ŻEROMSKI  
DLA MŁODZIEŻY



# STEFAN ŻEROMSKI DLA MŁODZIEŻY

WYBÓR Z PISM

KSIAŻKA PIERWSZA

WARSZAWA MCMXXII KRAKÓW  
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA  
NAKŁAD T-WA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE



Przedruki nieuprawnione przez autora wzbronione.  
Wszelkie prawa autorskie co do tłumaczeń i przeróbek  
zastrzeżone.

Prawa autorskie co do przedruków, tłumaczeń i t.d. w Rosyi  
zarezerwowane na zasadzie ustawy z d. 3 kwietnia 1911 r.

Copyright by Stefan Żeromski, nineteen hundred  
twenty one.

1894



Młodości!

Wszystkiego dziedzicu!

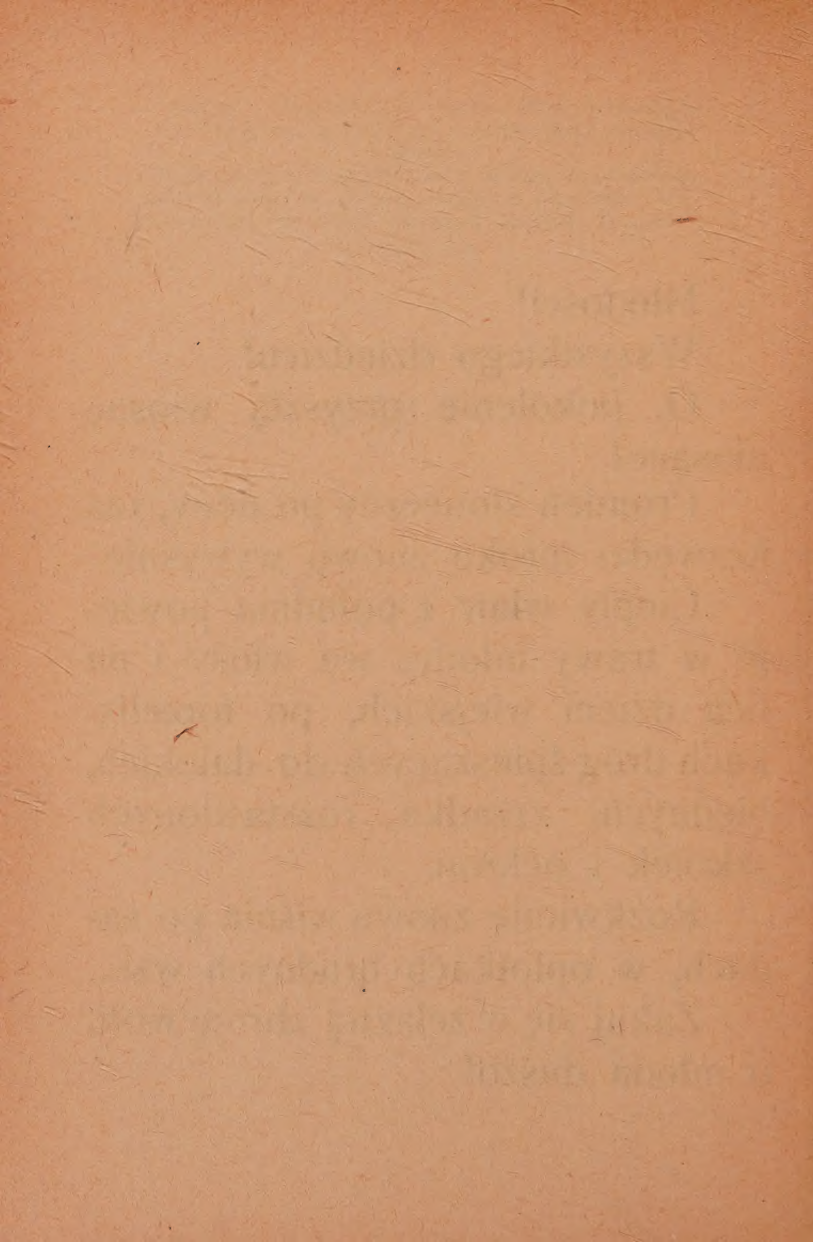
O, pokolenie przyszłą wiosnę  
niosące!

Promień słoneczny po nocy, zza  
krawędzi mroku znowu wytryśnie.

Ciepły wiatr z południa powie-  
je w trawy młode, we włosy i na  
lica dzieci wiejskich, po topielis-  
kach dróg śpieszących do dalekich,  
biednych, rzadka rozstawionych  
szkólek i ochron.

Rozkwitnie znowu wiśnia po sa-  
dach, w opłotkach brudnych wsi...

Zakuj się w żelazną zbroję woli,  
o młoda duszo!



NA PODLASIU





„Przed wiekami nauczyli się wierzyć w Pocieszyciela stokroć smutniejszego niż oni, w dobrotliwego władcę, który nawet najbiedniejszych miłuje. Z obrazem Jego zrosła się mowa, obyczaj i cały zakres obrzędów. To też ta wiara ma korzenie długie, jak jałowiec i panowie tyrani napocą się jeszcze, zanim ją wydrą.“

MOGIŁA.

Na wschodzie gromadziły się chmury ciężkie, granatowe, powleczone ponurym, rdzawym blaskiem gasnącej zorzy. Błyskawice latały po nich bez ustanku, a głuchy grzmot huczał, niby pod ziemią. Burza szła stronami, omijając spragnione deszczu „szczyrki“ podlaskie. Kiedyniekiedy mała chmureczka odbiła się od stada, przeciągnęła szybko nad moją głową, rzuciła kilka dużych kropel, które spadły w sypki piasek pustkowia, ciężko, jak ołowiane śruciny, — i pożegłowała na łeb na szyję ku dalekim błyskawicom.

Nastała noc ciemna, choć oko wykol. Zefiry,

akwilony i zwyczajne wietrzyki ucichły, błyskawice migwały coraz słabiej... Brnąłem po piasku z determinacją, zgadzając się na to, że napiję się wody aż dopiero w Wieprzowodach, jeżeli notabene trafię do jakiego miasta i jeżeli przedewszystkiem dziki zwierz nie pożre mnie na tej puszczy.

Usiadłem na kamieniu przydrożnym, aby odpocząć i zapalić papierosa. Wtedy dosłyszałem dalekie—dalekie szczekanie psów w kierunku ukośnym do mojej drogi. Natychmiast ruszyłem w tę stronę i po upływie dobrej godziny zbliżyłem się do długiego łańcucha chałup. Skierowałem me kroki ku pierwszemu budynkowi i trafiłem na tylną wrótnię stodoły. Pić mi się chciało tak dalece, że nie zwracałem uwagi na niebezpieczeństwo, grożące moim łydkom ze strony zębatej i szczekającej nocej straży tej wioski.

Przelazłszy przez płot, z wielkim impetem wpadłem w gnojówkę; z nieporównaną zręcznością wyskoczyłem na brzeg i zbliżyłem się ostrożnie do okna chaty, w której świeciło się jeszcze. Spora gromadka bab, parobków, dojrzałych chłopów, wyrostków i dzieci stała lub siedziała w rozmaitych miejscach izby, na ławie pod piecem i na skrzynkach. Jakieś szerokie barki i kosmaty łeb zasłaniały połowę okienka. W kącie stancyi, na brzegu ogromnego *wyrka*, siedział stary chłop w koszuli i, nisko schylając głowę nad kagankiem naftowym, głośno czytał. Wymawiał słowo po słowie

akcentem z podlaska śpiewnym, tonem uroczystym i żalością przejętym.

— We wsi Dołhobrody, w parafii położonej na granicy powiatów białskiego i włodawskiego pod dyrekcją naczelnika Gubaniewa trzy rotę dopuściły się tyranii. Włościanie na rozkaz dostawienia 60 wołów, przyprowadzili 69. Zapytani, dlaczego dają więcej, odpowiedzieli, że wszystko co mają oddadzą, lecz wiary łamać nie chcą...

— Ou — ou — ou... — wzdychali słuchacze.

„Wówczas we wsi liczącej przeszło półtora-sta osad, naczelnik zebrał mężczyzn na pole i otoczonych wojskiem, kazał wobec innych rozciągnąć obnażonych po kilkunastu na ziemi i, dodawszy do każdego po dwu kozaków, ćwiczył dotąd, póki nie wymógł podpisu na przyjęcie Galicyanina \*). Niektórym dostało się więcej, niż po 200 nahażek. Takie egzekucye praktykowały się w kilku miejscowościach. W Choroszczyźnie...

Słuchałem uważnie tej historii, oparty o ścianę. Nie jestem chłopomanem, nie rozczulają mnie przepecone magiery, ani zabłocone buty... Ale pomyśleć tylko... Jakaś czcigodna ręka przelała na papier to żalosne opowiadanie, ten gorzki ból, tę pohańbioną myśl garsteczki ludzi, którzy w niesłychanym ucisku, wśród pokusy, w stadzie nędzników i głupców ufają aż do śmierci, że przysię-

---

\*) Popa apostaty z Galicyi.

dze, jakiejś cnocie czy prawdzie należy wiary dochować. Tę myśl składał przy blasku płomyka gazu wyzyskiwany zecer, prznosił ją jako zabroniony towar jakiś szlachetny mistyk, jakiś nieznany a na śmierć gotowy wyznawca swojej idei. I przyszła na miejsce przeznaczenia, tam, gdzie chciało marzenie prawych i „*in tenebris lux lucet*“...

Właśnie, (wciąż stojąc pod okienkiem), przychodziłem do tak melancholijnych refleksyj, gdy nagle stała się rzecz, krótko mówiąc, straszna i niesłychana. Jak piorun z nieba zleciały na mój kark, ramiona, żebra, biodra, plecy i kołnierz, niewidzialne barbarzyńskie kułaki, schwyciły mnie w różnych miejscach, jak obcęgi, wywineły mną w powietrzu, niby szczotką do czyszczenia butów i w ciągu nadzwyczaj krótkiego przeciągu czasu wniosły mnie do izby. Cały ten proces wybuchnął i odbył się tak szybko, że zaledwie zdążyłem zamknąć oczy i pomyśleć:

— Aha—nadeszła chwila! Trzeba będzie, zdaje się, trzasnąć kopytami i wyzionąć ducha w ofierze „za szybkie, pomyślne i zupełne zrusyfikowanie tego kraju“...

Otworzywszy oczy, ochłonałem cokolwiek. Otaczała mnie wprawdzie grupa parobków z groźnymi minami i pięściami, wymownie ulokowanymi na moim karku, ale nie miała zamiaru odbierać mi życia bez sądu i natychmiast. Po prostu te chamy



stały i patrzyły na mnie, — no i ja również stałem i patrzyłem na nich.

Koniec końców rzekłem pierwszy:

— Dobry wieczór, chłopcy! Cóżecie mnie wniesli do izby tak ostrożnie, jak koszyk z jajami?

— My takie jaja, co pod *oknamy* łożą i podpatrują, nieraz tłuczemy *teeż!* — zaśpiewał jeden z gromadki, mrugając ku mnie lewym okiem bez cienia uczuć przyjaznych.

— Przez szyby to tylko złodziej może zaglądać, a ze złodziejem to jest krótka sprawa, — rzekł drugi, patrząc obojętnie na koniec mojego nosa.

— Jeszcze *betwan* po polsku będzie mówił — widziałeś... — mruknął ktoś z kąta.

Tymczasem ten, co mnie najsilniej, o ile sobie mogę przypomnieć, trzymał w objęciach, nieznacznie przysunął się do łoża starca i rzekł do niego półgłosem:

— Piechotny... *jakier...*

Stary chłop wyjął skądś grubą księgę, podobną do mszału, rozłożył ją nabożnie i począł czytać:

— „Boże, wszystkich wiernych Pasterzu i Rządcu, wejrzyj dobrotliwie na wszystkie stany państwa ruskiego“, (to *russkiego* wymówił z ogromnym naciskiem), „i królestwa polskiego i łaski im swojej miłościwie udzielaj, aby wszyscy we wszystkim ku dobru powszechnemu zmierzali i z drogi prawdy Twojej nie zbaczali...“

Zauważyłem, że czyta zupełnie inaczej. Poprzednio z nielegalną broszurą było mu daleko poręczniejsze, wystawiał się doskonale po polsku, najtrudniejsze wyrazy wypowiadał płynnie i czysto. Później wodząc palcem po tej książce do nabożeństwa, udawał głupiego, sylabizował mozolnie, bąkał, stękał, umyślnie przekręcał zwyczajne słowa.

— My sobie tu czytamy takie modlitwy, panie żołnierzu, — rzekł do mnie z dobrodusznym uśmiechem.

— A widzę...

— Skądście też, panie żołnierzu?

— Jestem z Wieprzowodów. Chodziłem po dworach z zapytaniem, czy gdzie nie wezmą żołdatów do żniwa.

— Z Wieprzowodów? — powtórzył pytająco starowina.

— Ehe. Jestem Polakiem. Z musu odsluguję wojskowość. Szedłem drogą tamtędy do lasu, usłyszałem szczekanie psów i zboczyłem tu do was, bo mi bardzo się pić chciało. Dajcież mi z łaski swojej półkwarcie wody, napiję się i pójdę dalej, a wy czytajcie sobie z Bogiem tamtę książeczkę. Nie macie się czego obawiać, ja was nie zdradzę.

— Jakąże to niby książeczkę? — zapytał stary lis, przybierając minę jeszcze głupszą.

— Tamtę o Gubaniewie i Kutaninie...

— Tak jakoś gadacie, panie żołnierzu, że nic nie mogę zrozumieć. Czegóż wy od nas chce-

cie? Słyszycie przecie chłopcy, że ciągiem plecie: czytacie książeczkę...

—A cóż nie mamy słyszeć? Słyszemy! -- odpowiedzieli chórem.

Usiadłem na ławce pod oknem i zamilkłem.

Okropną rzecz rozsiali pośród nas ci Moskale: między jednym a drugim człowiekiem nastawiony jest, dzięki nim, puginał zdrady, nieufności i podłej trwogi, w oczach siedzi trucizna podejrzenia, a cała nasza mowa stała się wyrazem jednego uczucia: obłudy. Czemże mogłem udowodnić tym ludziom, że nie jestem szpiegiem? Czy jest na ziemi i w niebie taka świętość, którejby ci wrogowie w ich oczach nie zdeptali nogami, albo nie uczynili przedmiotem handlu? A czyż mogłem odejść stamtąd, przerwawszy im czytanie świętej historii i zostawiając po sobie wspomnienie wroga? Chwyliła mnie za gardło taka zażarta mściwość, jakiej nigdy jeszcze nie doświadczyłem w życiu. Zacząłem rozpowiadać o wszystkim, com wiedział, a więc: o unii, o prześladowaniach, krzywoprzysięstwach, wylanej krwi, o tem, jak być powinno...

Kiedy zacząłem mówić o tem, jak być powinno, oni wspomnieli... o Polsce.

Co to jest Polska? Grupa etniczna, republika demokratyczna, rozwój przemysłu?... Tak, tak... Stał człowiek na przyzwoitem stanowisku klasowym, a teraz zacznie brać w rachubę wyobrażenia i mgliste przeczucie bezklasowych chłopów...

No! — ale słyszałem przecież na własne uszy wyrazy tych marzeń, tych tęsknych przeczuć i — do cholery! — lży mnie duszą...

Musiałem gadać przekonywająco, skoro mi tacy ostrożni ludzie zaufali. Nie od razu się to jednak stało. Stary najdłużej trzymał się nieufnie. Wpatrywał się we mnie wzrokiem bezczelnie badawczym, coś żuł, mruzczał pod nosem, ciągle wspominał o pańszczyźnie i o darowaniu, wówczas nawet, kiedy młodszy już mnie przyjaźnie rozpytywali. Nareszcie zmiękł i on.

— Tak to, tak...—zamruczał.— Nie co innego se myślał i ten... Kościuszek. Znacie go?

Zasłaniając sobie usta jedną ręką, drugą wskazał na obrazek, wiszący nad łóżkiem w ciemnym kącie między świętymi bohomazami.

Z każdej zmarszczki pergaminowej twarzy dziada śmiał się ciągle figiel, a w oczach świecił jasny, przenikliwy rozum.

— My se ta sukmaniarze jesteśmy, a przecie swoją rzecz wiemy. Jużci jakby on był za dziesiątą granicę *toto* wygnał, toby teraz batami ludzi nie rznąły.

Zacząłem się żegnać z tymi ludźmi i poprosiłem, aby mi dali kogoś, coby mi wskazał drogę do Wieprzowodów. Starzec zaczął wołać na wnuczka, drzemiącego na skrzynce przy łóżku:

— Pietruś! słyszysz, Pietruś!

— Hy?—mruknął chłopak, przecierając oczy



— Pietruś, *chodzi* tu.

Dwunastoletni pędrak zbliżył się do dziadka, który wskazywał na mnie palcem i mówił:

— Pietrek — widzisz go? — Sōłdat...

— Yhy...

— Moskal.

— Ale, Moskal! Po polsku gada.

— Po polsku gada, podlec, a po moskiewsku myśli.

— Ij — stulcie gębę!

— Stary wykrzywił się zabawnie i chichotał.

— Pietruś, — twój ojciec w jakim wojsku służył?

— Niby nie wiecie?—W moskiewskim.

— A twój stryjek?

— No! w moskiewskim.

— A dziadek, niby mój ojciec?

— Dziadek! To się pradziadek nazywa. Pradziadek w polskim.

— A ty w polskim będziesz służył?

— W polskim.

— Chi, chi, chi... A i będziesz *zgał* Moskalów!

— Będę!

— Jezusieńku! Za co?

— A bo to ony tatusia nie zepały *kijamy*?

— Chi, chi, chi...

— Nie boicie się uczyć malca takich rzeczy?— zapytałem. —Wygada się przed złym człowiekiem i będę wam na kark sprowadzi.

— Jabył się ta i bał, ale kiedy mi się już i nie chce strachem se głowy zaprzętać na starość. Jużciż ostrożność — pierwsza rzecz, ale ta i mój wnuczek nie kukulka. Wie on dobrze, co do kogo gadać—nie bójcie się.

Niedawno tu dostałem był *powiastkę*, żeby się natychmiast stawiać do naczelnika żandarmów. Słabowałem wtedy, po drogach topiele stały, bo to jakoś w wielkim tygodniu się trafiło. Nie poszedłem. Masz, myślę sobie, psubracie, interes, to pójdz do mnie. Ja ta już stary, gnaty *me* bola, osobliwie pod *wiesną*.

A no i przyszło ich chyba z piętnastu. Bobrowali po skrzyniach, pod *dachamy*, dyle odrywali, jeden to aż do pieca chlebowego łeb wściubiał, gębę sobie zamorusał, a u mnie narączę książek leżało w drewnutni, między statkami. Tylko mi dymisyę zabrały, com ją miał po ojcu. Pod Madalińskim był *sierżantem*... Miałby był oto Pietrek pamiątkę po mnie.

— Cóż to były za książki, że trzeba je było aż do drewnutni chować? — zagadnałem.

— Takie se ta książki, różne... To o tem, to o owem. Drukarz się widać zdrzemnął, zapomniał, że trza stawiać „*dozwoleno cenzuroju*”, — no i przyszło je pochować. Będę to robił ambaras panu naczelnikowi? A skąd, a jak, a od kogo, a po co? „Jego białobrodzie” i tak ma z nami dosyć utrapienia — chi, chi...

— Możebyście iadzi przeczytać teraz coś nowego?

— A ja ta zawsze rad. Leżę w izbie, dzieci mi się porozłazą do roboty, to sobie i czytam, a wieczorem zejda się do mnie ze wsi ciekawscy, to im znowu baję, co wiem.

— To ja tu, uważacie...

Poszeptaliśmy ze sobą kawałek czasu. Dziwny chłop, taki chłop—no—no! Ścisnąłem mu na pożegnanie rękę, jak najbliższemu przyjacielowi.

Szybko ich wszystkich pożegnałem i wybiegłem z tej chałupy. Wnuczek Pietrek dreptał obok mnie, aż na koniec wsi. Wskazał mi wąską drożynę na prawo i pędem wrócił do domu.

. . . . .





# WYPRAWA NA SAN



Krzyś Cedro był to daleki kuzyn Rafała, jedyny syn bardzo zamożnego szlachcica z nad Wiśłoki. Obadwaj z Rafałem mieszkali na stancyi u profesora Zawadzkiego w dworku, stojącym pośród ogrodów, niedaleko od ruin kościoła świętego Piotra. Cedro był szczupły, mizerny i nie bardzo silny. Uczył się doskonale, aczkolwiek nie zawsze z równą wytrwałością. Uwielbiał Rafała za jego siłę, męstwo i bardzo często odrabiał za niego różne prace szkolne.

Ustalił się być [niepisany zwyczaj, że gdy wieczór zapadał, obydwaj pensjonarze wychodzili na przechadzkę do ogrodu, zbiegającego ku Wiśle po zboczach góry. Tam o zmierzchu gonili się, cisnęli piułkami w siebie nawzajem, ile się dało, w przechodzących Izraelitów, a nawet ze smutkiem wyznać to trzeba, w przechodzących katolików. Szczególną nienawiść w nich, studentach austriackiego gimnazjum, budzili wychowawcy tak zwanego *szttyftu*, czyli szkoły żołnierskiej, która mieściła się w tymże gmachu po-jezuickim. Skoro tylko za murem ogrodu ukazał się malec ze *szttyftu*,

dostawał niezliczoną liczbę piguł, wymoczonych *ad hoc* w wodzie i zamrożonych umiejętnie.

Tego dnia, znalazłszy się w sadzie profesor-skim obadwaj zbiegli szybko wąwozem aż na samo dno doliny wiślanej. Szerzył się już mrok zimny i prędko, spływając z chmur. Sam był jak chmura.

Rafał obejrzał miejsce i przyległości. Nigdzie nie było żywej duszy. Dał znać Krzysiovi. Przesadzili parkan ogrodu. Stali o kilkadziesiąt kroków od brzegu rzeki. Z burych fal szło zimno i przejmujące seplenienie kry, która się w nich gęsto kołysała. Młodzieńcy chyłkiem szli w kierunku Złotej i widnego z dala Samborca. Co tchu przekroczyli Jagiellońską drogę i, brnąc w błocie, stanęli nad wodą. Zmierzch już nadciągnął i olbrzymimi fałdami osiadał ziemię.

W dole rzeki był zator lodowy.

Ktoś o nim wspomniał przy obiedzie, jak o rzeczy okropnej. Szli tedy obejrzeć własnymi oczyma, czy tak jest, jak mówiono.

Rafał znalazł łódź, którą był widział przybijającą do brzegu. Jeszcze raz rzucił okiem...

Sandomierz piętrzył się wyniosłe. Błyskały już światła na przedmieściu, zwanem Rybitwy, i w górze.

Odwiązał łódź, wyszukał w wikłach wiosła i skoczył pierwszy. Krzyś poszedł za nim i siadł w tyle.

Była to łódź płaska i płytka, zalana wodą.

Nie zdążyli pochwycić wiosła, kiedy już prąd wodny porwał ją i wyniósł na rzekę. Rozparli się nogami, zanurzyli wiosła i, co tchu w piersiach a mocy w barkach, poczęli wygarniać z głębin kłęby wodne. Dziób czołna twardo, z oporem, jakby orał w piachu, zwrócił się w stronę Trześni.

— Raz, dwa! — zakomenderował twórca wyprawy głosem nieswoim, surowym, z głębi piersi.

Złomy lodu płynęły szybko a ciężko jakoby potrzaskane ściany ciosowych kościołów. Z łodzi wydawało się, że w okrąg sunie zniszczony jakiś ład, niepodobna ziemia, zorana skibami, ruda, zczerwieniała od martwych piachów, od śladów rozpętanых, czarnych, nawalnic zimy. Były momenty, że płynęła wprost na łódź tafla olbrzymia, jak strop wielkiej sali, ostrymi krajami swymi godziła zdradziecko w burty stateczku. Wówczas Rafał wznosił wiosło i zadawał jej śmiertelne pchnięcie z czoła. Groźna pływająca szyba posłusznie usuwała się na bok. Inne, słabsze, od jednego trącenia rozpadały się w drobne ułamki, jak truchło bezwładne. W ostatnim blasku dnia widzieli w pęknięciach czarno zielone pasy narosłych warstw. Słyszeli dokoła siebie cichy syk lodu. Wybuchaly z żółtych głębin banie i skręty wirów, niby olbrzymie źródliska, kipiące z rozwartego dna. Kiedyś kiedyś łódź drżała od niespodziewanych uderzeń i trzeszczała złowrogo. Co chwila wiosła wyrzucały z pianistego bełtu tafle kry lodowej i ze



ślizkim szczękiem miały je w górę. Zdarzało się, że jakaś gruba tafla, jak skała, mknęła na wartkich falach, środkowego nurtu. Wtedy szkuta, podważona wiosłami, odskakiwała w bok i szła w ukośnym kierunku.

Światło zapalone w jakimś oknie na górze miejskiej, ścigało ich, łamiąc się i chwiejąc na wichrowatej fali ostrą iglicą. W tej szczelinie świetlistej ujrzeli pierwszy raz dziką otchłań, z głuchym furkotem, zapamiętane ciekącą.

Mrok głęboki owiał dusze, ale nie wygnał z nich radości. Czuli rozkosz fizyczną niesłychanego pędu w miękkiej kolebce przepaści. Chwyтали ją wiosłami za gardziel i wykręcali jej stawy...

— Raz dwa!—krzyczał Rafał ze wściekłością w głosie i namiętnem ukontentowaniem.

Wiosła wyginały się, jak od wiatru pręty wikłowe, ale łódź, potężnie gniotąc wklęsłe wiry i banie wodne, szła naukos w świerzy wodnej. Migotliwa igła na falach znikła, i noc śmiertelna otoczyła czołno. Ramiona słabły. Pot lał się z czoł, krew biła w skronie.

Drewniany statek leciał. Nie mogli już zawrócić jego dzioba, ani dokąd wola kierować. Z nagle zatoczył szalenie prędki krąg, garnąc ogonem świszczącą falę—i zwolnił biegu.

Był gdzieś przed nimi głuchy, przeraźliwy szum. Wszystek ryczał wody grzmiał tam ponuro

niby zlatujący wodospad z jakichś niezmiernych stawideł.

— Rafał, gdzie my jesteśmy? — cicho spytał Krzysztof.

— Ty czasem masz pyszne pomysły co do pytań! Skądże ja mogę wiedzieć, gdzie my jesteśmy?

— Co to tak huczy?

— Woda.

— Patrzaj, a to co?...

Drwiące słowo odpowiedzi trwoga wgniotła Rafałowi do gardła. Twarzy, piersi, rąk jego dotknęło coś, jakby ciemne, wilgotne szpony olbrzymiej łapy. Obydwaj młodzieńcy zachnęli się w tył i ku obronie dźwignęli z wody wiosła. Krypka wolno poszła naprzód. Wtedy poznali, że są w koronie strzelistego drzewa, które, widać, woda wydarła z ziemi i zwałała. Na wystających gałęziach i cienkich, bezlistnych prętach wisiały szmaty i torby zgniłej trawy i siana, które oblepiło znieczyszczone ich twarze i okrywało szyje.

Odepchnęli się wiosłami i łódź wolno, jak komiędzy ze zbożem, poszła tam, dokąd ją skierowali, z lekka tylko przez gościniec wodny unoszona w jakimś różnym od poprzedniego kierunku. Było tam pełno kry płynącej ospale, strzyży drobnej, kilku warstwami spiętrzonej. Rafał stanął w łodzi, rozstawił nogi, wsparł je na burtach i zaczął łódź huścić. Krzys rozumiał, że pragnie ją uchronić od

oblepienia przez krę, ale truchlał na myśl o tem, gdzie się znajdują.

Płynęli tak długo.

Huk trzaskających wód, które się dokądś waliły z przerażającym łoskotem, zbliżał się ku nim. Szedł na nich z nocy.

Z nagłą uczuli obadwaj, że ich znowu główny wart porywa. Woda darła się w lewo, z szelestem prac kry. Ciekli chwilę wśród lodu, który się szybko dokoła skupiał. Dopiero całym wysiłkiem rąk zdołali go odtrącić wiosłami raz, drugi, trzeci. Łódź znowu cofnęła się na cichsze mielizny, zawalone przez strzyż. Wtedy instynktownie poznawszy główny strumień Wisły, szeregiem gwałtownych wirów pod kędzierzawemi falami lecący, pomykali się co sił w przeciwną stronę. Wiosła ich miesiły krę, rozgarniały ją, z łoskotem tłukły się w niej, aż wreszcie tył łodzi twardo uderzył w coś nieruchomego.

— Czy to brzeg? — zapytał Krzysztof.

Rafał zmacał to miejsce wiosłem i znalazł, że to jest jednolity lód, zachowany przy brzegu. Mieli przed sobą otchłań głównego toru, dokoła stłuczoną krę.

Ręce ich ustały, byli przemokli do suchej nitki. Zziębli. Rozwarte szeroko oczy wlepiali w tę noc bez gruntu, ale nic dostrzedz nie mogli.

— Stań w łodzi, — rozkazał Rafał — a ja wyjdę na ten lód i zobaczę, czy brzeg daleko. Tu

właśnie musi być zator. Bylibyśmy w takim razie u celu.

Krzyś z posłuszeństwem wykonał rozkaz. Uczuł, jak łódź gibnęła się, gdy Rafał z niej wyszedł, usłyszał szklisty szelest jego pierwszego kroku i pewny siebie głos:

— Chodź, lód twardy. Wyciągniemy barkę na brzeg. Ja już nie mogę robić wiosłami.

Krzyś stanął na lodzie.

Naokół słychać było chrzęst strzyży, chlustanie i szelest odbitych fal. Deszcz pluskał bezustanku.

— Wyciągniemy łódź na brzeg i zostawimy ją tutaj, — rzekł Olbromski — a sami pójdziemy piechotą. To jest lewy brzeg...

— Łódź nie jest nasza! — zawołał Krzysztof stanowczo. — Musimy ją odstawić na miejsce.

— A to ją odstaw. Z największą pochwałą akceptuję projekt.

— Moglibyśmy ją dociągnąć, idąc po brzegu...

— Możesz i to zrobić. Ja nie będę ciągnął.

— Cóż tu począć?...

— A to też to! Tu ją zostawimy. Powie się jutro rano przed lekcyami Bobrzykowi, da mu się na piwo.

— Ja mu zapłacę! Masz słuszość. Ja mu dam tyle, że będzie nawet zadowolony z tej afery.

— Właśnie, ty mu dasz. I ja tak myślałem.

— No, to ją tylko wyciągnijmy na brzeg...

— Zaraz. Muszę nasamprzód zobaczyć, gdzie to jest ten brzeg.

Odszedł, brocząc po wodzie, która cienką warstwą stała na tem lodowisku, zmurszałem i przemokłem od długich deszczów. Gdy wrócił z wiadomością, że brzegu będzie kilkadziesiąt kroków, ujęli obaj za łańcuch przykuty do dzioba barki i zaczęli ją z całej mocy na lód windować. Poszło to z trudem, ale ostatecznie dało się wykonać. Czółno wsunęło się na pomost lodowy dość szybko.

Znienacka Rafał zauważył, że jego nogi wolno zanurzają się w wodzie. Przerazenie włosy mu zjeżyło na głowie, bo uczuł, że cała ta olbrzymia kra ugina się pod nimi i idzie na dno.

— Krzyś, uciekajmy! — wrzasnął na towarzysza i chciał go chwycić rękoma, ale dłonie jego objęły próżną ciemność.

Wzdęty bałwan wodny pchnął go w piersi i dokądś odtrącił. Cedro krzyknął nagle, a potem kilkakroć zabełkotał w wodzie. Rafał wpław rzucił się w to miejsce na oślep i złapał rękoma włosy i ramiona. Wywłókł go z fali i pchnął przed siebie, jak drewno.

Ochynał się cały, z głową. Poczuł, jak tafle, złomy, okrucy lodu obsiadają go ze wszech stron, z dołu, z boków, z góry, jak przystawiają do gardła ostrza swych krajów i garną się w usta. Płynąc w tym gęstym roztopie, uderzył ramieniem o lódź. Trzymając się jej burtu lewą ręką, do-

włókł Krzysia do calizny lodowej i wwalił go na nią. Później sam się tam wczołgał i, leżąc na brzuchu, sunął po płaszczyźnie, która się uginała i zanurzała w wodzie. Cedro ocknął się z jękiem i zaczął gramolić... Widzieli, że giną bez ratunku, bo znowu szli na dno razem z ułamaną taflą, gdy Rafał chwycił rękoma pręty wikłowe i rokity na brzegu. Wówczas dopiero pomyślał o ocaleniu. Wywłókł Krzysia z topieli na brzeg. Odetchnął. Pot lał się z niego. Grube zimowe ubrania nasiąkły wodą do ostatniej nitki, nogi w butach głośno chlupały.

— Cedro, zimno ci? — rzekł szeptem.

— Zimno.

— Musimy lecieć, bo zginiemy. Uciekajmy!

Rzucili się w zarośla wikłowe i poczęli wyżej kolan grzęznąć w rozkisłych bagnach nadbrzeżnych. Pręty smagały ich po twarzach, pniaki jakieś raniły nogi, ostre kije z kolkami rozdzierały ręce, ale po długiej męczarni uczyli, że niski ląd staje się coraz twardszy. Wreszcie wybrnęli i znaleźli się na pochyłych zagonach.

Rafał usłyszał, jak zęby Krzysia szczękają. Dotknął go ręką i uczył, że drży. Sam także ledwie mógł stłamsić przerażający dreszcz w sobie. Woda sączyła się z każdego ich włosa.

Wtedy ogarnęła go śmiertelna rozpacz. Nie wiedział już, w którą stronę iść: stracił wszelki zmysł i rozumienie kierunku. Nastawił uszu, ale



słyszał tylko wściekły, przerażający szum wody, szum — śmierć.

— Ty się nie orientujesz, gdzie Sandomierz?—  
mówił do towarzysza.

— Nie.

— Możesz iść sam?

— Nie.

— Krzyś!

— Idź sobie. Ja tu zostanę.

— Krzyś!

— Zimno mi, zimno, zimno...—zaskomlał, jak  
małe dziecko.

Usiadł na ziemi.

Kostniejącemi rękoma Rafał chwycił go wpół i zaczął wlec dokądś, przed siebie. Ale uszedł tak zaledwie kilkanaście kroków. Potknął się i runął w rozmiękły zagon. Przez chwilę leżał bez sił, z twarzą w bródzie, pełnej roztającego lodu, zimno i martwo myśląc, że już nic nie poradzi. Dreszcze wyrwały się z pod jego woli, łamały go i trzęsły. W głowie zatlił się krwawy płomień.

Ruchem niezawisłym od świadomości, myśli i woli, głuchym aktem bezdennej rozpaczyny zaczął zdzierać z siebie mokry, obmarzły kubrak, który go tem straszmem zimnem przejmował — i raptem zaczął to czynić co sił, co tchu, co mocy w palcach. Zdarł ze siebie koszulę, spodnie i zaczął mocować się z rozmiękłymi butami. Rzemień przywarł do nóg. Zdało się, że cholewy są skórą ciała.

Ciągnęły się, jak guma. Po długiej męczarni zwłóknął wszystko z siebie i został nago. Wtedy to samo zaczął robić z Cedrą. Poszarpał na nim ubranie w pasy i odarł go ze wszystkiego. Tamten leżał bez sił w miękkim zagonie, dygocząc ciałem, gdy zzuwał z niego buty. Kiedy Krzys był już zupełnie nagi, Rafał zaczął go prać pięściami, szarpać za ramiona, bić z całej mocy po nogach i zmusił do walki ze sobą. Okładali się pięściami na dobre, gdy Rafał wrzasnął, że muszą lecieć co tchu, bo inaczej zginą obadwaj. Znalazł w ciemności rękę Cedry i jął go ciągnąć. Z początku tamten włóknął się, padając co krok, szedł ociężale, później coraz prędzej, aż wreszcie pobiegł. Lecieli jak obłąkani, przez niewiadome pola, przełazili przez płoty, mijali wąwozy, zarośla, krzaki, doły. Było im coraz cieplej i z każdym krokiem przybywało sił. Jelenimi susami sadzili przez rowy, nie bacząc na to, gdzie noga stanie. Biegając tak obok siebie na wyścigi, trafili na grunt twardszy, wznoszący się ku górze i poznali, że są na Sandomierskim płaskowyżu. Rafał zaśmiał się z cicha.

Już teraz nie lękał się topieli. Było mu dobrze rwać tak, co pary w piersiach, nurzając się w śmiertelną oćmę nocną, grzać się jak ogier w biegu.

W pewnem miejscu, lecąc bez przerwy w nieznanym kierunku, z nagłą usłyszeli poza sobą daleki, daleki dźwięk. Był to głos zegara na wieży

kolegiackiej. Skoczyli w tę stronę i wnet nozdrzami poczułi dymy. Sandomierz!

Zbliżali się do niego od Opatowa. Gdy przybiegli do ogrodów miejskich, szli po zapłociu ich aż do swego, wskok wdarli się na górę i stanęli przede drzwiami domostwa, które było ich czasową siedzibą. Teraz nareszcie groza położenia zajrzała im w oczy...

Rafał dumał przez chwilę i z lekka popróbowwał drzwi, wiodących do sieni. Ku jego wielkiemu zdumieniu—ustąpiły. Weszli cicho, jak upiory, i sunęli się obok ścian, po dobrze znajomych dylach. Z sieni wchodziło się do stancyi profesora. Trzeba ją było minąć, chcąc dostać się do ich studenckiego pokoiku.

Otwarli drzwi, uczuli ciepły dech zimowego mieszkania i, niby widma, szli przez tę stancję. Słysząc było tylko bicie ich serc... Wtem Krzys runął razem z krzesłem, na które wlażł w ciemności. W mgnieniu oka dom się poruszył. Zabłyśły światła. W sąsiedniej izbie ktoś skrzesał ognia, zapalił świecę i, nim zdołali dopaść drzwi, zastąpił im drogę. Był to profesor, ich mentor i chlebobdawca. Stał przed nimi w bieliznie, wysoko wznosząc świeczkę łojową. Gdy ujrzał dwie postacie nagie, jak je Bóg stworzył, unurzane w ciemnem bagnie, otworzył usta i długo im się przypatrywał. Powieki jego drgały, a szlafmyca trzęsła się jak w febrze. Winowajcy stali przed nim, zachowując

cyniczne milczenie, i brutalnie przypatrywali się jego chudym łydkom. Wreszcie słowo skrzydlate wyfrunęło z jego łacińskiej gardzieli:

— Olbromski!... to ty, ptaszku! Twoja to jest nowa sprawka...

— Panie profesorze! — zawołał Cedro, wyciągając ku niebu zabłoconą prawicę: — przysięgam, że to ja jestem winien.

— Czemu jesteś winien, kochanku?

— Ja sam tylko! Winien jestem! Ja to go namówiłem, Rafała, ja wymyśliłem...

— Cicho! Będziesz mi tu się stroił w bohatera, mnie uniewinniał... Mnie!... — rzekł Rafał z pogardą, która kierowała się właściwie nie do towarzysza niedoli.

— Olbromski! — wykrztusił belfer, trzęsąc się z zimna i wściekłości: — odpowiesz ty mi za to w dniu jutrzejszym. Wielki Boże! nago łazili po mieście w nocy, zimową porą. Wszystko się to wykryje!

— O, wykryje się, niezawodnie! Wszystko na świecie może być wątpliwe, to tylko jest pewna, że ta sprawa się wykryje.

Oczy jego błysnęły złowrogo i okropna ironia zaświeciła w nich płomieniem.

— Chodź spać! za mną! — krzyknął rozkazująco, jak wódz, na Krzysia i majestatem kroczącym krokiem, zostawiając na idealnie wymytej po-

dłódze dokładne odbicia spracowanych stóp, ruszył w stronę łóża.

Z jakąż rozkoszą uczuli obadwaj kołdry na grzbietach!

. . . . .

WILKI





Psy ze szczekaniem skoczyły ku Rafałowi, który umykał, co siły w nogach. Ledwie, ledwie zdążył przypaść do konia, odwiązać supeł cugłów i stanąć w strzemionach, gdy go opadły. Baśka rzuciła się naprzód, jak strzała. Sadząc jeleniami susy, wypadła w pole i uszła psom. Długo niosła go w podrzutnym skoku wskrós wicheru i śniegów po niewiadomej przestrzeni. Nie ściągał wodzów, nie mógł kierować jej chodami.

Dokoła wrzała rozpętana burza. Całe pole, skrós którego leciał, zrywało się, jak oszalałe jezioro. Falami huśtały się sypkie tumany i nakształt bryzgów strzelistych pian wylatywały do góry, ponad konia. Kiedy niekiedy zrywał się jakoby schylony filar, stał chwilę w powietrzu i rozlatywał raptownie, jak kupa piasku. Wicher dał zaciekle. Wypadał z gwizdem, jak gdyby z jakichś szczelin w ziemi. Była ciemność nieprzejrzana, straszliwa, pełna tylko kłębow białawych, wzmagających się wśród poświstu. Co kilka chwil rozlegał się tępy wrzask zawiei, ryk zdławiony jakoby przez pętlę z rzemienia. Wybuchały niewiadome siły,

chwytaly się w ciemności za bary śmigłe, gibkie, lecące ciała. Śniło się, że grzmocą wzajem pierś w pierś straszne pięście, że zduszone gardła charczą i wyrzgują krew, że w ciemnych jaskiniach nocy coś zdycha i daremnie prosi o łaskę.

Wierzchówka, puszczone wolno, szła w zawód z wichrami. Osnowa jej grzywy trzepała kiedy niekiedy schyloną nisko twarz Rafała. Teraz dopiero czuł upojenie. Surowemi klątwami podniecał żrebicę i burzę, żeby obiedwie wyteęzały siły. Lećcie stwory! Co duchu, co mocy! Polotny skok Baški zmienił się w cudny bieg. Dziko parskąła. Zdało się, że chce wyrzucić konchy nosowe, że rozwarte jej chrapy zioną krwią i płomieniem.

Nie czuć już było podrzutów, gdy sprężyste nogi odbijały się od zmarzłej ziemi: pławiła się w tumanach śniegowych, jak w rozbującej wodzie.

Kobyła przez czas pewien biegła po niewiadomej płaszczyźnie. Rafał nie wiódł jej wcale. Zniecka poślizgnęły się kilkakroć jej tylne kopyta. Jechała na zadzie, zrywając się na nogi... Poderwał ją uzdą, wstrzymał i puścił wolnym kłusem. Był w jakimś nieznanem miejscu, na błoniach zarosłych iwiną i chróstami, które przeraźliwie w wichrach gwizdały. Świerzopka brnęła przez dawne śniegi, do piersi jej sięgające. Nogi jej ślizgały się na lodach jakowychś rozległych. Rafał pomyślał, że jedzie bez celu, i teraz dopiero przypomniał sobie, że ulegając klaczy, mknie wciąż za wiatrem,

więc się od domu oddala. Rozejrzał się na ~~w~~wsze strony, badając, czy jeszcze nie świta. Ale mrok był naokoło niezglębiony. Skręcił tedy bachmankę pod wiatr i pojechał przed się miernym kłusem. Baśka mknęła chętnie, bujała w polach. Stroiła skoki, chrapała czasami, cofała się, czując przed sobą urwiste wąwozy, nieraz zapadała w rowy i wyrwy, przedzierała się zaroślami tarek i głogu, które w nocy huczały, jak lasy.

W pewnej chwili usłyszał szczególny huk. Zrazu sądził, że jest na brzegu Wisły, ale wnet zorientował się, że Wisła stoi, okuta przez lody. Baśka szła krokiem wolnym, ostrożnym, nasłuchując i chrapiąc niespokojnie. Wkrótce Rafał rozróżnił w tym huku trzask i skrzypienie drzew. Podjeżdżał tedy do wielkiego lasu, a z takiej strony, że wcale nie mógł osądzić, gdzie jest. Było tu zacisznie. Las go zasłaniał od wichru, był więc między nim a domem. Takiej, szeroko rozwartej kniei nie było w całej okolicy.

Niewiadome zastępy drzew wołały w ciemnościach. Wylatywał stamtąd to przeraźliwy głos spadających skał, to huk wód, które lecą w bezdenną próżnię z wysokości obłoków. Słyszać było stękanie całych poręb, trzask bukowych konarów i świst siekący różg brzozy, zgiętych do samej ziemi... Nadewszystkiem wszakże panował martwy pomruk. Rozdymał się, albo zacichał, ale trwał ciągle. Przez chwilę Rafał stał przed tą ścianą nie-

widzialnego boru i niechętnie rozmyślał, co ma czynić, w którą stronę jechać. Co prędzej chciał to przedsięwziąć i wracać do swych widzeń miłosnych. Było mu wszystko jedno. Byleby się tylko świt nie pokazywał...

Wtem Baśka skoczyła w bok, jak ciosem razona. Rafał cudem tylko nie zleciał z siodła. W oczach mu coś zamigotało, tam, w tych leśnych głębiach. Przez sekundę snił, że tó migoce światło w derślawickim dworze, i radość go owiała. Ale prędzej od ruchu źrenicy zmienił się ów sen w postrach gwałtowny, który go przebił na wylot, jak gdyby lanca. Kobyła z ryczącem chrapaniem stanęła pod nim dęba, piorunem zwinęła się na tylnych nogach, wyszarpnęła mu z rąk cugle i skokiem z miejsca poszła w przestwór, precz od lasu, za wiatrem, co pary w piersiach. Stało się to tak nagle, że Rafał uczuł tylko uderzenie krwi do głowy. Schylił się, ręce wsparł na łęku, nogi wyciągnął, złożył po boku klaczy... Na pustych polach, wśród tańczących śniegów Baśka kopnęła się w przeciwął coraz bardziej chyży. Jeździec miał teraz pełne usta śniegu. Mokre szmaty zamieci chlastały mu twarz, długa końska grzywa siekła policzki. Wicher go do kości przejął. W tym biegu nad biegi słyszał ciągle poza sobą cmokające kłanianie, jak gdyby zgłodniałych psów.

— Wilki za mną... — wyszeptał.

Włosy mu się jeżyły na głowie i lodowate

mrowie szło po grzbiecie. Wtedy cichym a ostrym głosem, przychyłając głowę do szyi kobyły, przez ściśnięte zęby mówił jej nad uchem:

— Basia, ratuj, Basia!..

Klacz jakby rozumiała, co mówi. Nie był to już galop, nie cwał. Leciała nad ziemią we fruujących pianach śniegu z chyżymi wilkami w przegony. Nozdrzami jej strzelał ostry świst. Wyciągnięta szyja okryła się gorącą pianą. Była jak goźdzacy pocisk...

W jakiejś chwili Rafał zgarnął śnieg z oczu. Dźwignął głowę, wykręcił się na siodle i spojrzał w tył. Ujrzał cztery błyski, migocące gdzieś w głębi. Gdy tak wzrok natężał, że widział prawie cielska ścigających go wilków, wiatr zdarł mu z głowy czapkę. Rafał schylił głowę i uczuł wnet, że ma płomień we włosach, płomień, pełgający na szyi, na krzyżu. Leciał, mając grzywę ognia na sobie. Bił teraz obcasami kobyłę w zapadłe boki, smagał ją końcami lejców. Rozpacz okrążała jego czaszkę, zwolna ją oplatała, jak długie, zimne skręty żmii. Wnet z piersi jego wylatywał krzyk, martwiejący na ustach, wnet dziwaczny, głupkowaty śmiech. Klacz przesadzała krzaki, płoty... Drzewa leciały obok, stronami ze świstem, krzaki miały w lecącego śmiech urwany, jak oklask, chichot dyabelski. Tu i ówdzie wierzchówka skręcała nagle pod wiatr i z rozwartymi nozdrzami kopala się w dzikich rzutach przez zakłęste parowy, a zbierając nogi



do kupy, wypadła z nich lwimi susami. Czasem stękała, jak człowiek, czasem coś, jak czuły wyraz ze szlochającym krzykiem, zionęło z jej pyska. Były chwile, że cmokanie nacichało. Na gołych polach Baśka ubiegała wilki o staje, albo i dwa, ale wśród parowów pościg ją doganiał. Gdy do jej uszu doleciał osłuch wilczego cmokania, gnała znowu ze zdwojoną siłą, śmigała jak ptak, skrzydła orle mający u każdej pęciny, brzuchem rozgarniała śnieg na ziemi. Rafał utracił rozumienie czasu. Chwilami zdawało mu się, że leci już przez całą noc. W głowie jego utworzył się oziębły i pusty ból, który co chwila wybuchał płatom ognia. Niekiedy ciemność rozdzielała się przed rzuconem spojrzeniem, i ukazywało się w jednym błysku widziadło chat, rodzinnego domu, dnia... Za chwilę była to już tylko straszliwa, ciemna otchłań. Nie wiedział już wcale, czy jest ścigany, czy nie. Leciał w powietrzu...

W jednej chwili, nie wiedzieć kiedy, usłyszał trzask. Tęczowe ognie napełniły mu głowę i oczy. Magnął kozła przez łeb kobyły, która runęła na ziemię, i zleciał w głęboką zaspę. Przez chwilę leżał na wznak, po szyję zanurzony w miękkim śniegu, bezwładny i prawie rad z tego, co się stało. Wtem buchający parą, włochaty potwór z przeraźliwym sapaniem, jak koń, zwałił się na niego. Rafał uczuł wszczepione w siebie pazury i kły, Straszliwa, długa paszcza wżarła się w ko-

zuch na jego piersiach, przejęła kłańcami grubą sukienną kurtę i, miotając łbem olbrzymim, targała w prawo i w lewo. Kły worały się w ciało. Jakoby obuchem siekiery druzgotały mu piersi, ramiona, ręce ciosy tego czarnego łba. Czynem rozpaczy Rafał chwycił nagiemi dłońmi ów czerep za nastroszone, grube kudły około stojących uszu. Zdusił żelazne, ogniem zionące gardło. Klęcząc w śniegu, zaczął teraz borykać się, wodzić na śmierć i życie ze zwierzem. Był to pod nim, w objęciu jego stalowych łap, w jego pysku, to leżał na nim. Wkrótce jednak wydał wrzask przeraźliwy, gdy ręce znalazły się w rozwartej paszczy. Lśniące widzenie przeraźliwych oczu wilka ozionęło go mrozem śmierci. Wtedy obie ręce wydarł z paszczy i zadał w owe ślepie cios zwiniętą pięścią. Ale prawa dłoń trafiła w rozwartą paszczkę i wbiła się aż po gardziel. Piorunowym ruchem Rafał rozwarł pięść i wszystkimi palcami, silniej niż sęp szponami wpił się w to ogniste gardło u podstawy jęzora. Darł go na zewnątrz. Wilk rozwarł pysk, wygiął się, jak naciągnięty łuk. Wszystkie cztery nogi wszczepił w piersi Rafała. Pazury zdarły w szmaty, w strzępy kożuch i orały żywe ciało od gardzieli do brzucha. Tylko gruby pas rzemienny kiszki od nich osłonił. Łeb targał się w oszalałych rękach Rafała ze śmiertelną potęgą. Ślepie kołowały. Z nagle straceniec usłyszał w głowie swej myśl, pełną jasnym światłem, dźwięk krótki, jak ostatnie

uderzenie dzwonu: klucz. Cichym, złodziejskim ruchem lewej ręki, z cudownym przebłyskiem nadziei mord-u w duszy, która jak płomyk ciepły stanęła w jego mózgu, skradł się pomiędzy rozwścieczonymi ruchami nóg wilczych do kieszeni rajtuzów i w mgnieniu oka wywłókł z nich żelazo. Ujął je pośrodku długości. Z góry, co siły w zamachu, potężnym ciosem, chichocząc, wbił je w lewe ślepie. Ujrzał, że zgasło. Wtedy podwójnym ciosem w drugie, aż się po dłoń zatopiła krzywa sztaba. Gdy zgasły przed nim straszne kagańce, zaczął bić w czerep, między uszy, w kufę. Ostre końce klucza więzły między kośćmi nosa i w czaszkę. Miażdżył je teraz póty, aż się klucz napoły we łbie wilczym nurzał. Czuł, że zmasakrował kości i że rozwała mózg. Wtedy sztychem spodnim począł bić w brzuch. Rzygająca jucha oblała go wrzącą strugą, jak z cebra. Wilk wciąż jeszcze był na nim, wygięty, pazury łap szarpały go, ale już słabiej, coraz słabiej. Łeb siepał się coraz wolniej. Wreszcie wśród nieustających uderzeń Rafał bez tchu runął na cielsko wilcze. Nie wydobywał jeszcze z pyska prawej ręki, zgiętej skurczem śmiertelnym. Ustał. Bezwładnym już ruchem żgał zwierza, coraz mniej ruchomego. Słyszał, gdzieś obok siebie, śmiertelne rzenie Baški. Słyszał w samej głębi serca i w szpiku kości jęki jej ostatnie, jakoby wołanie o pomoc. Słyszał, jak ją drugi zwierz rozdziera żywą, jak rozrywa jej szlachetną szyję, drze gar-

dział, jak chłopce płomienną krew i mlaszczącym pyskiem zre dostojne piersi. Nie miał odwagi wstać. Łkał, leżąc w gorącej topieli krwi własnej i uchodzącej juchy wilka. Resztkami wiedzy i sił kuł jeszcze raz za razem. Łapy zaczęły drgać bezwładnie, wreszcie opadły. Zbliżył do zdruzgotanej mordy twarz i mówił w nią:

— Znaj pana, znaj pana!... Za Baškę!

Wyrwał z paszczy rękę, jakby z cieśni ognistej. Legł na gorącym trupie i spoczął na nim jak w pościeli.

Nie rychło, tknięty jakąś błędną myślą, ściśnął w ręce żelazo i dźwignął się z ziemi. Czuł śmierć nad sobą i niewymówiony mróz strachu. Serce ciskało się w nim odległymi, ślepymi i bezdźwięcznymi wybuchy. Chwilami ustawało, jak zabite. Zaczął iść wskroś zasy, z krzykiem chwytając w piersi powietrze. Brnął, potykając się. Stawał. Zrywał się z kolan i na chwiejnych nogach. szedł, uciekał, zmykał od łkającego rżenia kobyły. Usłyszał wietrzny szum i przypadł do drzewa. Objął pień rękoma, oblał go, jak chłop wszechwładne nogi pańskie.

Był to samotny jarzab przydrożny, do pół zadęty przez wiotkie śniegi. Rafał schował klucz do kieszeni, wdrapał się na drzewo i usiadł między dwiema rozwidlonemi gałęziami. Teraz dopiero poczuł i spostrzegł, że piersi jego są nagie i że są jedną otwartą raną: Dopóki leżał na wilku, nie

czuł ni zimna, ni bólu. Teraz zakrył się rękoma, skulił, przywarł do drzewa. Rozum jego wydarty był z korzeniem.

.....  
Nie rychło, nie rychło pojał..

To dnieje.

Podniósł głowę, płonącą w ogniach niebieskich, zielonych, fioletowych, szkarłatnych, i jął patrzeć dokoła. Pola! Pola bez końca! Nagle łkanie wyrwało się z jego ust. Buchnęło, jak żywa krew z przerwanej żyły. Ujrzał Baškę. Leżała na boku, rozciągnięta, ze łbem odwalonym bezwładnie. Wilk rozszarpał jej brzuch, wlażł weń ze łbem i przednimi łapami. Czarny jego kadłub, unurzany we krwi, wysuwał się z niej co chwila, wlekąc na zewnątrz śniade i ponsowe jelita. W obłędzie zacieklej zemsty Rafał skoczył na ziemię i wielkimi krokami poszedł w tamtą stronę. Bielmo zalepiło mu oczy, usta ciskały przekłute wyrazy. Ściśnięte, krwawe pięście biły w wiatr. Już za chwilę począł uciekać w przeciwnym kierunku. Włókł się po zagonach, padał na twarz w lotne zasy, dźwigał się i znowu wstawał. Za każdym krokiem otwierały się rany jego piersi i skrzepła, zastygła krew znowu broczyła. Świtało. Odslaniały się pola coraz dalej i dalej. Modra poświata przenikała śnieżną zawieję. Rafał żegnał się z tem światłem ostatnim dreszczem serca. Ciało jego ze drżeniem waliło się na ziemię. Myśli z czaszki

uciekle. Widział dokoła siebie tysiące mar, tak samo, jak on, podrywających się z zagonów i mkających w lekkich śniegach. Chwilami wyęczał wszystkie siły, żeby krzyczeć, ale tylko schrypiły jęk z gardła jego wypadał. Stracił wreszcie ostatnie dreszcze woli. Nie wiedział już owo zgoła, czy idzie, czy stoi. Żółte krzyże z równymi ramionami zaczęły występować dokoła. Dzień biały, święty, z końca świata wstający, począł gasnąć... Jakoby pokrywa, ukuta z ciemności, niezmierzonej myślą, nieobeszłej wyobrażeniem, krąg z brzegi obrabianymi zawisł nad polami i szedł na jego czoło. Ostatni raz oczy pełne łez spoczęły na widnej jeszcze wstędze światła. Bezmierne obrzydzenie, awersya, wzgarda przyniosły obraz śmierzącego wilka. Coś czarnego przebiegało tam śniegi, wlokło się zwolna... Za nic na świecie walczyć już nie chciał. Nie, nie!

Tymczasem czarna zjawia zbliżała się ciągle, i oto Rafał z podziwem ujrzał parę szkapiat, tak małych, że wielkie ich łby i chude tułowia ledwie było widać między zaspami. Za końmi sunęły gołe sanie chłopskie, a na poprzecznej listwie przodka siedział skulony chłop w wielkiej rogatej czapie i żółtym kożuchu. Wiatr poddymał kultuniaste grzywy i ogony zbiedzonych, włochatych źrebiąt i zasypywał je śniegiem.

Rafał wołał na woźnicę, stojąc na miejscu, ale tamten nie słyszał wcale, gdyż magierę wsu-



nieta miał na uszy i głowę owiazaną szmatami. Konający ostatnim rzutem sił, z wyciągniętymi rękoma posunął się ku niemu i włókł za saniami z wołaniem coraz cichszem. Konie szły noga za nogą, torując sobie drogę ku opłotkom, na których Baśka załamała się była i zginęła. Z dala poczuwszy wilka, konięta dzwignęły łby i zatrzymały się w miejscu, pełne niepokoju. Chłop stanął na saniach i wpatrywał się w dal. Wtedy Rafał przyczołgał się do niego i runął nań z boku.

Ujrawszy półnagie widmo, od stóp do głowy staplane we krwi, zagrodnik z wrzaskiem cisnął powrózki lejców, bat i uciekał w pole. Dopiero ubiegłszy kilkadziesiąt kroków, opamiętał się i ostrożnie zaczął przyglądać.

Kiedy po długich namysłach wrócił do zestrachanych koni, znalazł Rafała, leżącego w poprzek sanic bez duszy.

# POTYCZKA



W nocy z 14 na 15 sierpnia generał Verdier odstąpił od oblężenia Saragossy. Nie było sposobu zdobyć jej wstępnym bojem.

Krzysztof Cedro już od dnia 6 sierpnia znajdował się w Monte Torrero. W dniu 5 sierpnia został na ulicy Cosso raniony w udo odłamkiem granatu, wskutek czego nie mógł uczestniczyć w dalszych działaniach. Leżał w baraku szpitalnym aż do chwili wymarszu wojsk francuskich w górę rzeki Ebro, a w stronę Tudeli. Pod koniec tygodnia swego wypoczynku należał zresztą do lepszych robót minierów przy zakładaniu prochów.

Trzeci szwadron lansyerów polskich wyszedł ostatni z Monte Torrero z improwizowaną artylerią Hupeta. Nie dochodząc do rzeki Xalon, wojska francuskie zatrzymały się w oczekiwaniu na wybuch min. Cedro był jeszcze znużony chorobą. Szczególna w tym czasie zaszła w nim zmiana: uspokoił się i wzmocnił. Stał się jak gdyby dojrzały, stały i nieprześlągany i nieugięty w swej obojętności. Znalazł bezwiednie w tym nastroju

duszy wyjście z labiryntu moralnych drgań i niepokojów.

Oto nadeszła chwila długiej niepewności, naprężonego oczekiwania w milczeniu. Słysać było tylko huk rzeki Xalon. Kapitan minierów, który był prochy zakładał i zapaleniem lontów kierował, wydobył z olstrów pistolet, żeby w łeb sobie strzelić, jeśli wybuch wcale nie nastąpi. Dla Cedry była ta chwila daleko bardziej obojętna, niż dla starych wyjadaczy, dla wytrawnych łazęgów włoskich i młodych wisusów a zbójców z temperamentu. Taką ciszę i spokojność wewnętrzną przeżywał we Francyi, czasu wielkich marszów pułkowych. Cekał teraz na wybuch, jak w teatrze oczekuje się na oświetlenie ogniem bengalskim efektownej grupy dziewczic. Jeżeli doświadczał jakiej przykrości, to było nią zwątpienie o tym wybuchu.

Ale oto, na szczęście dla kapitana minierów, głucho jęknęła i zatrzęsa się ziemia, a łoskot oddały góry Aragonii. Słupy ognia, fontanny dymu, gejzery kamienia i chmury gruzu buchnęły w niebo. W nich ludzie magali kozły w powietrzu, jak zastrzelone w lot ptaki.

Ruszono w marsz dawną drogą przez Alagon, Mallen ku Tudeli wśród nieustających napaśtowań chłopów, zorganizowanych w bandy powstańcze, zwane *guerillas*. Wojska regularne Don José Palafoksa y Melcy szły w te tropy. Pułk lansyerów stanął wreszcie obozem w budach dre-

wnianych, kleconych na prędcę, nad samą rzeką Ebro. Był wysunięty w stronę nieprzyjaciela i nie miał chwili spoczynku. Konie stały w błocie i glinie rozmięklej, to też dostawały grudy i ochwatu. Szczury wodne nie dawały żołnierzom spać po nocach. A noce były już nadzwyczajnie zimne. Zaczęły bić deszcze jesienne. To też rozkoszą niemal była dla żołnierza każda wyprawa. Krzysztof uwolnił się z artylerii, wrócił do szwadronu i lancy. Robił nią już oddawna i świetnie wszystkie *manievements*, wolty i piruety. Wykazał w potyczkach sprawność zupełną. Kiedy poprzednio w górach, otaczających Saragosę, wyuczył się przedewszystkiem przebijać ordynarnych chłopów w ognistem natarciu, teraz ćwiczył się w sposobach walki z regularną konnicą. Był tedy już niezwalczony w zwykłym, wysadzającym z siodła „broń do ataku!“ — w szarżach *en-avant-pointez!* — w parowaniu w lewo, czy w prawo, w zdradzieckich, wściekłych, a niezwalczonych ciosach w tył i bok. Uczył się tylko jeszcze pod Tudelą od mistrza Gajkosia najtrudniejszych napaści *par le moulinet*, zadawanych z wysoka, z ponad głowy, kiedy się lancę trzyma lekko między palcami, a cała moc cielesna i siła ciosu spoczywa w palcu wskazującym. Były-to piorunowe a lekkie pociski w twarz, między oczy, w gardło wroga, a raczej wrogów. Gajkoś miał możność codziennie pokazywać uczniowi, jak te „przytyki“ rozdawać w obskoczeniu. Rzucali się



tedy dla nauki, praktyki i przykładu w gęstwinę hiszpańskiej konnicy, *guerilleros*, lub regularnej piechoty samowtór, czy samotrzeć w moment po salwie strzałów, zanim tamci mogli broń nabić. Skośnięciem, co siły w bachmacie, wpadali w tłum. Sztuka walki z przemagającym stokroć tłumem, polegała na tem, że grot lancy niweczył opór nieprzyjaciela w odległości sześciu łokci od piersi ułana. Żołnierz hiszpański, pragnąc cios zadać, musiał zbliżyć się o dwa i trzy kroki. Fućkot chorągiewki i błysk ostrza tworzył wnet wolne koła. Wokół trzech jeźdźców na koniach powstawały trzy place, a pierwsza luka stanowiła dla nich jakoby wyłom w murze fortecy. Widziano też nieraz pod Tudelą iście fenomenalne zjawiska. Bataliony piechoty i szwadrony jazdy hiszpańskiej rozsypywały się i pierzchały w pole, jak zgraja dzieci, przed byle garsteczką ułańską, pędzącą z kopyta.

Długo trwały te codzienne lekcye i korepetycye nad rzeką Ebro, bo aż do wielkiej i sławnej bitwy pod Tudelą w dniu 23 listopada. W tej bitwie, oba bataliony piesze legii, pierwszy pułkownika Kąsinowskiego i drugi, w którym walczył kapitan Wyganowski—wslawiły się męstwem nieustraszonem, zlały krwią ziemię i przyczyniły się przeważnie do wielkiego pogromu Hiszpanów. Krzysztof Cedro po szarży w tej bitwie został oficerem. Zaliczono mu służbę w przykopach pod Hupetem, jako pierwsze awanse na brygadiera

i na stopień *maréchal de logis*. Zakwitł teraz w swoim szwadronie, jako pan *lieutenant en seconde*. Musiał się wkupić do koła, nabyć od kolegów okucie srebrne do daszka, łańcuszek do podpinania, szlify i hafty munduru, czapra, akselbanty przerzucić na prawe ramię, rzemienie wszystkie safianem podszyć...

Sprawiło mu to niemałą radość, że nareszcie dosłużył się stopnia. Oficerowie powitali go życzliwie, znali go już bowiem dobrze, wiedzieli, co zaczął jest na koniu, w ręce, w polu i pod dachem. Nie jednemu z prostszej sfery pochlebiało nawet koleżeństwo z tym austriackim „hrabią”. Ujrzał się też „hrabia” otoczony przyjaciółmi co się nazywa. Duszę gotowi byli za niego położyć... Wina nie brakowało w tych miejscach—można się było niem na śmierć zapić, wyznając sobie wzajem braterskie uczucia. Były jeszcze i uboczne powody tak serdecznego przyjęcia nowego porucznika. Oto z pułku szwoleżerów gwardyi przysłano w tym czasie do zajęcia miejsc oficerskich sześciu jeźdźców. Byli to panowie: Stadnicki, Dominik Runowski, Sawicki, Adam Radłowski, Józefat Kadłubiński i Teofil Mikułowski. Sztab ułański, a nade wszystko młodzież bez stopnia, czyhająca na odznaczenie, z wielką niechęcią przyjęła gwardya-ków. Ci przybysze zagradzali drogę do awansu istotnie zasłużonym, a nadto, przybywając od boku cesarza i z wielkiego świata, mieli na obliczach

marsa wyniosłości i protekcyonalne uśmieszki. Cedro, którego widziano, jak harował w rowach pod Saragosą i darł się z karabinem na barykadę, zyskiwał tem większą, na złość frantom szwoleżerskim okazywaną sympatyę.

W przeciwieństwie do szyku żołnierskiego, w którym żył dotychczas, składającego się ze starych wilków, lwów, hyen i dzików-pojedyneków, w przeciwieństwie do surowych słuźalców, do nieubłaganych kondotyerów i srogich a ślepych żołdaków — znalazł się teraz w otoczeniu delikatniejszym, młodszem i bardziej ludzkim. Czuł to, że sam przewyższa kompanię oficerską zimną czerstwością, którą był nasiąkł w tłumie wiary. Męstwo w gronie, które powiększył, nie było jeszcze ową kamienną dzikością, sława tu świeciła na ostrzach szabel, honor był dźwignią i miłość dalekiej ziemi zakonem dusz. Nie wszystkich zresztą... Cedro stał się oficerem całą gębą, przyjął ryczałtem wszystkie zalety i wady tego stanu z pokorą a bez zastrzeżeń, jak prozelita świeżo nawrócony przyjmuje nietylko rytuał, ale i związany z nim w życiu całkowity *modus vivendi*. Już po upływie kilku dni w stanie nowego dostojeństwa spostrzegł, że przewyższa wielu kolegów wiedzą wojskową i doświadczeniem. Rzadko który z młodszych był tak długo, jak on właśnie prostym żołnierzem. Rzadko który walczył tak, jak on w Saragosie i pod Tudelą...

Z pod Tudeli, w ślad za cofającym się w popłochu dowódcą Hiszpanów, Peña, który zajął miejsce Castaños, marszałek Ney pociągnął do Tarazona, a stamtąd górami, drogą równoległą do doliny rzeki Ebro aż do Plasencyi. Z Plasencyi wzdłuż rzeki Xalon ciągniono ku południowi na Muela, El Almunia, Morata -- starorzymskim szlakiem wojennym, odwieczną drogą z Caesaraugusty do Mantui Carpetanorum, czyli Madrytu, na Bilbilis...

Wiedziano już w wojsku, że Napoleon jest na ziemi hiszpańskiej i że równolegle zdąża do Madrytu na Burgos. Sto koni jazdy polskiej pod grosmajorem Klickim poszło z marszałkami Moncey i Lannes'em znowu pod Saragosę, w ślad za Palafox'em, który szedł zamknąć się w straszliwym mieście, ażeby wypełnić nieśmiertelne dzieło drugiej obrony...

Generał Lefebvre Desnottes dowodził jazdą korpusu szóstego, który szedł przodem dla połączenia się z główną armią. Pierwszy raz na własne oczy ujrawszy tak olbrzymią porażkę ośmdziesięciu tysięcy hiszpańskiego ludu pod Tudelą, przez armie marszałków Lannes'a, Ney'a i Victor'a, Cedro nabrał pewności siebie i ślepej wiary w szablę ułańską.

Były ciągle deszcze i srożyły się wichry, gdy armia francuska szła górskimi drogami Aragonii w stronę Calatayud. Żołnierz polski odznaczał się

czerstwością zdrowia i wytrzymałością na zimno. Więc kiedy Francuzów tłumy wleczono w furgonach, kawalerya nadwiślańska szła wciąż zdrowa, jak rydz, w przednim szyku. We dwa dni po pogromie tudelskim podjazdy ułanów zbliżały się do Calatyud. Armia była dosyć daleko. Wśród deszczu i przelatujących chamer śnieżycy widziano przednie straże jazdy hiszpańskiej. Kiedy szwadron trzeci zbliżył się do tawerny, zwanej Burviedro i wstąpił na górską płaszczyznę, otaczającą to miejsce, dały się słyszeć z gór otaczających strzały armatnie. Szwadron stanął na drodze i sformował się w kolumnę w oczekiwaniu na nadejście siły głównej. Deszcz bił ulewny. Gdy nieco ścichła nawałnica, ruszono kolumną w kierunku, gdzie widziano siły nieprzyjacielskie,

Cedro miał na sobie granatowy płaszcz z białym kołnierzem, ale go nie zapinał pod szyję i nie otulał nim ciała. Zuchowi między lansyery nie mogło być zimno. Na czapkę włożył przejrzysty, ceratowy futerał, żeby ją od deszczu uchronić, ale końców nie zawiązywał pod brodą. Nie używał również srebrnej podpinkii. Czyniąc zadość kانونowi mody, ustalonemu wśród oficerskiej tężyzny, utrzymywał czapkę, zsuniętą na prawe ucho bez niczego, „sposobem głowy“. Giał wiatr czapłą kitę, ale czapka nie drgała. Oczy ułana, przezroczyste, jak jasne morze, nurzały się we mgłę, opar i za-

więcej. Konie, wolno idące, dymiły się i grzały pod czapraki i oponami z płaszców, rzuconych poza siodła. Wtem, jak pistoletowy strzał, rozległ się głos komendy:

— Za broń!

Jak jedno machnęły prawe skrzydła płaszców na ramię odrzuconych. We mgle ukazała się jakoby gęsta, czarna, po ziemi idąca chmura.

— Broń do ataku!

Krzysztof wyrwał szablę. Wziął konia we władzę kolanami, lewą dłonią, spięciem ostróg. Furknął młyniec chorągiewek, podobny do przeszywającego pisku jastrzębia...

— Flankiery naprzód!

— Szwadron do ataku!

— Plutonami — marsz!

— Marsz!

Zrazu wolno, miarowym kłusem, szedł szwadron równiną, dopóki na oko nie dojrzał nieprzyjacielskich jeźdźców. Wtedy Cedro za innymi krzyknął w uniesieniu:

— Skróć cugle!

Grenadyerski pluton flankierów na spiętych koniach ruszył cwałem. Jazda Hiszpanów zbliżała się miarowo. Przypuściwszy pędzący hufiec flankierów na strzał, dała ognia z karabinków. W mig po strzale, rozdzieliwszy się we dwa skrzydła pierzchnęła równiną w prawo i lewo.



Konie pod Polakami szły już chyżo. Cedro, widząc przed sobą umykających na prawo, zakomenderował:

— Pędem!

W tej samej chwili jeźdźcy ujrzeni jasny piorun, lecący po ziemi. Był to strzał linii piechoty, ukrytej w rowach, w tyle za jazdą. Tam i sam w cugu Krzysztowa, obok niego i za nim jęknął człowiek. Dzwoniąc zbroją, z krzykiem walił się na ziemię. Chrapały straszliwie osierociłe konie. Jedne bez kawalerzystów pędziły w skok, nie wychodząc z szeregów ani o cal, inne samotne w polu, latały, rżąc po kamienistej równinie.

— Bij, zabij! — wołał szef szwadronu, pewny, że teraz, po strzale, roztrąci piechotę i zmasakruje, ilekolwiekby jej było.

Puszczono bieguny w przecwał ścigania.

— Bij, zabij! — krzyknął Krzysztów uszczęśliwiony, że idzie na czele. Czuł w dłoni pałasz, pałasz swój złoty, ukochany, potężny, mocniejszy od błysku tysiąca zdradzieckich karabinów. Leciał coraz dla siebie wspanialszy, ogromniejszy, niezmierny, jak anioł gromy ciskający.

Znowu złoto-żółty błysk. Błysk długi, migotliwy, pędzący falą zygzakowatą... Ze szczęścia, z uczuć mocy—tchu aż brak... Już, już—karabinierowie! O sto kroków! Widać ich twarze namarszczone, czapy... Nabijają co tchu broń... Tchu



brak! W oczach płaty... Płaty krwawe i czarne. Dymy... Krzyże, migotliwe koła, szkarłat i błękit... Ognie koliste buzują się wszędzie, bijąc fontannami czerwonych iskier. Mocny Boże! Gdzie pałasz? gdzie pałasz? Spada jasny pałasz z bezwładnej ręki w ciepły dół... Głowa dokądś leci, jak góra kamienna.... Cóż to tak w piersiach zawadza? Co się w piersiach złamało i klekoce?... Tchu brak!

Mocny Boże, co się to dzieje? Ziemia przed oczyma w ogniach, ziemia kamienista, ziemia zryta kopytami, skopana od skoków, zdeptana... Ziemia w ustach, pełna gęba krwi. Ziemia ucieka...

Głowa trzaska w kamienie i w mokre bryły... Z garści konwulsją ściśniętych uciekają kolczaste kaktusy i niskie tarniny... Aż oto pierwsza przeraźliwa myśl:

— Noga mi została w strzemieniu. Trupa mojego zbiegany włóczy koń...

Wtem cisza, spokojność, błogość. Mokra ziemia naokół. Mrok gęsty. Konie skądś lecą. Rżą i kwiczą. Brzuchy końskie w płatach piany, wierzgające ponad ziemią kopyta. Tętent! Grzmiący tętent dudni po ziemi... Jakież to konie rżą? Stadnina w Stokłosach, czy co? Któż to mi spłoszył żrebce?

— Paniczu! — ryczy Gajkoś. Łka. Dźwiga ostrożnie z ziemi grubemi rękami omdlałą głowę. Niesie, niesie na szlochających piersiach, na sercu rozhukanem.

— Panicza nama zabili!—ryczy na cały szwadron.—Panicza zabili! Naści, psiokrew, zwycięstwo! Bodaj was jasne pierony zapaliły...

Zwiotczałe poszeptują wargi:

— Pałasz mój, złoty mój pałasz...

# WIDZIADŁA



Noc była zimna.

Przejmujący powiew ciągnął równinami od strony sterczących skał Guadarramy i Somosierry, które jak posępny ciemny pas zostały na północy horyzontu. Armaty, furgony, wozy z prochem, tocząc się po gościńcu, huczały i dudniły. Krzysztof leżał na wznak z oczyma utkwionemi w chmurne niebo. Słyszał wciąż trzaskanie bata, dziwaczne krzyki i pogwizdy mulnika, monotonny klangor dzwonków, chrzęst żelastwa, w zaprzęgu furgonu, łoskot miarowy kół... Materac, zawieszony na żelaznych hakach, chwierutał się do taktu zgrzytliwie, a przecie melodyjnie, tak samo zgoła, jak pewna okiennica w narożniku dworskim w Stokłosach. O okiennicy tej krążyła blisko i daleko wieść, że przepowiada niepogodę. Jeżeli tylko w najcudniejsze susze czerwca, w najcichsze czasy lipcowe zaczynała pogrzytywać, jakby pokasływać od niechcenia, stękać na strzykanie w zawiasach i chrzypieć na łamanie w zasuwach, ludzie przyśpieszali roboty, na łeb na szyję grabili w kopki siano, schnące na pokosach, rozwaloną koniczynę, czy

wiązali w snopy zboże i żywo zwozili ku stertom. Z odległej nieraz wioski zachodził, bywało, pode dwór karbowy albo włódarz posłuchać na odwieczarz, czy okiennica złego nie wróży.

Krzysztof słyszał teraz zgrzytanie haków, ale nie bardzo wiedział, gdzie jest. Ciemność nieprzyjazna, ciemność—klęska, ciemność—krzywda leżała na nim. Otaczał go lodowy obwód z szaremi wyrwami, skąd wypełzały ciągle korowody figur. Całkowite ich kształty, które myśl, czy oko chwycić usiłuje, wydostają się z szarości nie jak obrazy malowane na płótnie, nie jak rzeźby z marmuru, lecz tak, jakoby maskary sztucznie ożywione... Jedne są z chropawego filcu, o włókienkach lśniących pod sennem, smutnem, gorzkim światłem... Rzęsy mają z włóczki przedzonej, z grubej frendzli, brwi na dwa palce wystające, włosy druciane. Oczy ich nieruchome prosto w płonący mózg zadają cios sukiennego spojrzenia i giną w tajemnicy i znikomości, w otchłani szlochów... Zaledwie jedna zniknie, wypływa inna i czuwa nad znużonemi myślami. Żadna nie da się odpędzić aktami woli... Głowa jest, jako puste, rozległe, bezgraniczne niebo, po którem wloką się wielokształtne obłoki, niesione od skrytych wiatrów.

A jak wysokie chmury przypomną nieraz kształt ziemi i dumają nad nim, niejako, tak samo myśli nieszczęsne niekiedy wspomną rzeczywistą ziemię. Widzą z daleka te myśli samowładne i buj-

ne niby w dalekiej przeszłości, jak to w piersi tworzy się nagle a niespodziewanie przepaść rany. Ruchoma stamtąd bije, pienista fala na obraz źródła wyrwanego z pod gliny. Serce szalonymi ciosy, serce-młot, bije raz w raz głębie miękkich, klekocących fal Płuca zrywają się, siepią i mocują w nadmiernym trudzie. Miecą ze siebie ogromne, galaretowate skrzepy i strugi cichej, słonej, płynnej krwi.

Senne, znużone, splakane widzenia zmierzchają, cichną i topią się zwolna w ciszy. Szare opony rozpręgły się, znicestwiały i pierzchły. Nie słychać nic, nie słychać nawet krzyku poganiacza mułów, ani dzwonek, ani zgrzytu haków. Wszystko jest ciszą. Ciało zmartwiało, serce zamiera i bezwładnie leży na obraz skrzypiec rzuconych. Nędzneż to deski! Struny żywe, struny wszystkogrające nie zabrzmią już! Skonała na zawsze melodia wasza, skrzypki lipowe... Dym ciężki błądzi przed oczyma, wlecze się po piasku, gdzie w zamyśleniu błądziła stopa, po ile czerwonym, po siwych opoczystych caliznach... Sprzymiera się i łączy dym ze skibami i wnętrzem brył, dotyka ze drzeniem ostrych kantów, ziarnistych wydeć kamienia...

— Tyżes to jest przeznaczenie moje?—skarżą się wargi.—Przyjacielu, przyjacielu... Tyż to obejmiesz piersi moje, kamieniu? Tyż to ostatnia ucałujesz me usta, żółta bryło?



Nareszcie głębokie westchnienie.

Cóż to jest wokoło?

Zeszły się dokoła głowy, obległy nozdrza, napłynęły ku piersiom dymy z kwietnika przed domem w Olszynie.

O, błogosławione a niewypowiedziane szczęście obcowania z kwiatami w dniu uścisku śmierci!

— Tyżeś to jest ze mną—szeptają usta—siostrzyczko-rezedo? Tyżeś to przyszła na martwe ugory mej śmierci? Bóg-że ci zapłaci... Jesteś zapach mojej młodości... Tak jak ty pachnie szczęście dzieciństwa. Zapachu mój, otocz mię i przygarnij do życia... Weź mię z uścisku gliny i kamieni...

Otwiera się przed oczyma cudne dziwactwo, widziane jakoby pierwszy raz, wypukłych, całobrzegich, strzępiastych goździków. Fiołkowemi powłóceniami całują przekrwienia oczu bratki jesienne... Bładofioletowa lewkonia leży na piersiach, na płucach dziurawych, a dobrotliwy jej zapach chłodnem a częstotliwem chuchaniem sący się w jaskinię rany.

Wtem słysząc, słysząc...

Słysząc, co się dzieje w uszach i głowie. Biją tam w dźwięczne kowadła małe, pracowite, zawzięte kowaliki. Małe to musi być, jak polne świerszcze... Szybko, szybko, z ramienia łupią młotami majsterkowie: raz raz—raz raz!

A potem jeden przed drugim, na wypródk!

Aż tchu brak. Tworzy się z ciosów ciągły szum, unosi się w pustynię głowy huk, jak w głębokim, starodrzewnym boru, lesie...

Dech zamiera. Serce się zrywa i łomocze skrzydłami w gałęzie, niby złapany siecią dziki orzeł. Głowa bezwładna chwieje się w prawo i w lewo po ruchomym materacu, palce rąk błędzą, chodzą, wędrują. Nogi coś ciska w różne strony, jak drwał w złości ciska bierwionami...

Mózg się żywym płomieniem pali. W nim płoną pióra myśli. Spalone na węgiel wargi szepają:

— Trepka... Szczepan... daj-że mi pić, daj-że mi pić... Już my dzisiaj z tego strasznego lasu nie wyjedziemy... Święty jeleń z krzyżem między rogami spotkał nas w lesie... Rafał do niego strzelił... Szczepan... daj-że mi pić, daj-że mi pić...

Wolno nasuwa się, sztorcem nastawia, jak grot lancy, złowrogie pytanie:

— Skądże tu, u Boga, ma być Trepka? Gdzie?

Wracają trzeźwe i spokojne myśli, przypływa jasna świadomość:

— Śniło mi się, widać, o Trepce...

I znowu, niby ogromy chmur, pędzą myśli innego porządku, wychodzą skądinąd sylogizmy namiętne, pytania natarczywe, odpowiedzi raczej i dowcipne, całe komplety genialnych widzeń, odkryć istotnych, wynalazków w dziedzinie myśli ludzkiej. Śmiech dobrotliwy otacza je niby mgła...

— Nie jesteś tak znowu głupi, Szczepanku, jak sądziłem... Nie doprawdy, nie! Jest w tem sens pewien, jest treść w twoich głędzeniach. Więcej znaczy nowy rów, przerznięty w odwiecznych bajorach nad Wisłoką, niż wygrana potyczka... Czy tak? Niż potyczka pod Burviedro, pod Calatayud? Więcej znaczy jeden przytułek, jeden szpital w twojej, prawi, dziedzinie, niż zdobycie sztandaru... Czy tak? To rzeczy zgoła różne, braciszku miły... Toż przecie jasno widać...

Głowa się pali, głowa kipi i wre. Jako snopy ognia latają w niej zdarzenia, obrazy, dowody, przykłady. Snują się łańcuchy myśli:

— Zabawnyś ty, stary, zabawnyś ty ze swoją przyziemną, chlebożerną filozofią! Poczciwa jest twoja głęboka, wymyślona głupota, łyzy mi gorzkie wyciska z oczu. Wyrzekłeś się bohaterstwa nietylko za siebie, ale za syny i wnuki, odpinasz na zawsze pióra od przyłbicy i miecz rzucasz rycerski. Pracy się nędznej poślubiłeś, żeby odkupić pradziady i prawnuki.. Zabawnyś ty, stary, zabawny...

Mówisz, że nam to sądziły dzieje... Nie to nam sądziły dzieje; co gorsze, albo lepsze, jeno to, co najpodlejsze, co nogami zdeptane, co na samem dnie leży. Sądziły nam dzieje uciekać, jak psom zerzniętym batami z pod Krupczyc, z pod Kobyłki, a po bohatersku wchodzić na Calle del Cosso... Tak nam sądzono...

— Alboż to prawda?... — śmieje się w ucho Trepka, czy dyabeł z obrazu w bocznej nawie kościoła świętego Jakóba w Saragocie.—Alboż to prawda? Nikomu nic nie sędzono. Každy czyni, co chce, wola jego i rozkazanie. Chce żyć, to żyje a chce umierać, tak jak ty, głupio i po zwierzęcemu, to umiera...

W piersiach wywaza się coś, jak stawidło, trzymające przemocą wody zdławione.

A wywala się i bucha nie woda, lecz ogień. Huczy krew.

Lodowaty strach błądzi po piersiach. Nogi ma z soplów, lekkie, jak zimny dech. Gdzie stanie tam przeraźliwy dreszcz lata. Schyla się i szepce:

— Siadłbyś rankiem w saneczki, w jednego konia... Kopna, nieprzetarta droga. Pierwszy śnieg. Skoczyłbyś cwałem zobaczyć, co też tam w Olszynie słyhać. Czy też zdrowi, czy ojciec... czy Mery...

Biją w swe kowadełka kowaliki: raz raz, raz...

Wszystko urwało się i zapadło w ziemię. Szum i trzask...

Wstręt... Ktoś pozywa na sąd za owo wino w świętym kielichu... Smak w ustach wina i goryczy centuryi. Piasku i rozpalonego popiołu pełne oczy.

Wtem natarczywy głos poruszy półmartwe ciało:

— Panie podporuczniku, panie podporuczniku!...

— Któż tam?—odpowie z trudem.  
— Ady ja...  
— Kto taki?  
— Ja... adjutant podoficer, Pruski.  
— Nie wiem.  
— Nie poznajecie mię to, panie podporuczniku?

— O niczem nie wiem.  
— Przecie na mnie patrzycie?  
— Patrzę.  
— No, my razem pod Burviedro zranieni. Mnie łapę oberwało, a was durch przeszło. Razem nas wieżą. Gajkosia pamiętacie?

— Pewnie, pewnie.  
— Zaprzysiągłem mu, że was odchowam. Wiecie?...

— A co to za miejsce?  
— Napijcież się tego bulonu, napijcież się duszkiem. Sam Hupka go warzył. Pijcież całą gębą, bo dobry!

— A gdzie to my jesteśmy?  
— Już my minęli miasto.  
— A jak się nazywało?  
— Nazywało się Alkada de Benarez. Droga się nam wykręciła na zachód. Wiatr ustał. Powiadają, że wielką stolicę Madryt będzie zaraz widać, jak się tylko dzień dobry zrobi. Trzy mile niepełna do tej stolicy. Tam nas złożą w szpitalu,

jak cesarz stolicę zdobędzie... Ziąb szelma podły...  
Krupy z deszczem były, a teraz jakoś nacichło.

— A skąd to my jedziemy?

— O, la Boga świętego!... Przecie już tydzień  
czasu jedziemy od Burviedro.

— Już tydzień...

— Nic to nie pamiętacie?

— Może i pamiętam, ale opowiedz...

— W Calatayud przełożyli nas na ten wóz  
z materacami. Pamiętacie? Jeszczeście, panie pod-  
poruczniku, gadali ze mną, jakieśmy jechali przez  
Ateca, przez Alhama, przez Sisamon, przez Medi-  
naceli. W Medinaceli rozdzieliły się drogi. Prawa  
poszła na jakąś Siguenzę, a lewa wprost na połū-  
dnie do Guadalexara. Z Guadalexara jedziemy już  
całe południe i całą noc do Alcala...

Cedro przechylił do ust garnuszek, zanurzył  
wargi w płyn i pił chciwie, nienasycenie. Potem  
zaraz w moment usnął, nim mu Pruski lewą ręką  
zdołał wyjąć zgięte palce z ucha garnuszka.

Nie ocknął się aż późno w dzień. Świeciło  
wielkie, złotolite, oślepiające słońce. Uczuł, że go  
ludzie na ruchomym materacu niosą dokądś w pole,  
w równą, bezdrzewną przestrzeń. Kołysał się na  
swem posłaniu, nie mogąc pochwycić taktu ich  
kroków. Mrużył powieki przed olśniewającym świa-  
tłem i ledwie ledwie myślał:

— Co też ze mną myślą zrobić? Dokąd mię  
też zanosą?

Wtem postawiono ruchome łóżko na ziemi. Krzysztof rozejrzał się na wsze strony i zrozumiał, że jest w szeregach rannych, którzy leżeli na ziemi pokotem, jedni na materacach, inni na łózkach połowych, na płaszcach i derach wełnianych. Wodził po nich sennym, obojętnym wzrokiem. Ziewając, myślał ospale, że pewnie tu wszyscy pomrą z zimna na tej wyziewającej chłód i wilgoć, na przemokłej i ohydnej ziemi. Bez przykrości zagłębiał się w życzenie, wwiadywał w pożądanie, żeby już spocząć na zawsze. Byle głęboko! Nie będzie się ruszał, trząsł, drżał... Spać tego, bez lajdackiego budzenia przez byle durnia... Tylko, żeby choć samemu! Wśród trupów obcych żołdaków gnić we wspólnym dole i śmierdziec pospołu z motłochem... Wnet cicha, daleka muzyka onych skrzypiec... Anielski ich głos przepływa w duszę, jako struga wonności...

Wtem krzyk potężny, łoskot jednolity z męskich, zdrowych, żołnierskich piersi grzmi, niby dźwięczny strzał stu armat:

— Vive l'Empereur!

Za chwilę drugi:

— Wiwat cesarz!

Chwila cicho... Oto znowu bucha ten szalejący orkan radości, ten uniesiony hymn, w jedno słowo zawarte atlantyckie morze:

— Wiwat cesarz!

Dreszcz odmienny przebiegł ciało. Znikł,



a z nim razem myśl o tem, co znaczyć może ten wszechpotężny okrzyk.

Cisza nastała.

Zjawił się w uliczce między rannymi, ułożonymi szeregiem, oficer wielkiego wzrostu i czytał manifest cesarski głosem donośnym, wyraźnym, potężnym. Manifest głosił wszem wobec—zdrowym i konającym żołnierzom, pracowitemu ludowi i bogaczom, księżom i świeckim, Francuzom i Hiszpanom, wszystkim zgoła, kto oddycha na półwyspie Iberyjskim, że w chwili tej cesarz Francuzów na wieki wieczne znosi i niweczy inkwizycję świętą, wypuszcza jej więźniów, umarza sprawy, że liczbę zakonów i klasztorów zmniejsza o dwie trzecie, że na zawsze odmienia i kasuje odwieczne prawa feudalne panów, że znosi i niweczy wszelkie przywileje...

Cedro słyszał wszystko dokładnie i wszystko zrozumiał.

— Teraz już wiesz, Szczepanku, — mamrotał, śmiejąc się i ziewając, — dlaczego łamaliśmy starą Saragozę, kastel Aljaferią z jej więźniami, czemuśmy broczyli lance pod Tudelą we krwi ciemnego motłochu. Naszą to krwią pisana twoja konstytucya, więźniu hiszpański!...

Przechylił głowę na bok i patrzył w słoneczną przestrzeń. Patrzył na kamienisty grunt około swego posłania, na zmokłą w nocy i obsychającą dopiero glinę, rozciapaną od licznych butów. Czuł,

że klei mu oczy prędkie, gorączkowy sen, powieki chodzą, jak po piasku, jak po pacynach zeschniętego wapna. Jeszcze jedno senne wokół spojrzenie...

Któż to się zbliża? Któż to idzie ku niemu? Zna przecież tego człowieka... Widział go, na żywy Bóg! Twarz blada i tajemnicza, nikiej księżyc ukryty w chmurach. Oczy w niej zagmatwane latają, latają, to znowu w cienie swe cofną się, żeby czyhać, jak lwy w zasadzce...

Z barłogów, sienników, materaców, der, z nagiej ziemi dźwigają się porwane szczątki, potrząskane głowy, wspierają się na łokciach przeszyte, bezsilne tułowia i zeschnięte gardła, uszczęśliwione usta miotają krzyk:

— Wiwat cesarzu!

Krzysztof podniósł się z legowiska. Coś w nim od tego ruchu złamało się, jak gdyby chrupnęło bez dźwięku. Siadł na posłaniu straszliwie blady, zlany potem, z gębą pełną krwi. Oczy jego, jak kły, werznęły się w nadchodzącego. Zatrzymały go w miejscu. Staął.

— *Sire!* — wymówił Cedro.

Ciemne, wojenne oczy wodza uderzyły w spojrzenie Krzysztofa.

Spokojna twarz, jakby wykuta z niewiadomego metalu, była ku niemu wyczekująco i groźnie zwrócona.

— Jakie jest twoje życzenie?—spytał głuchym i zimnym głosem.

— Jeśli umrę.. — począł mówić Cedro w języku francuskim, spokojnie i groźnie, z dumą i odwagą patrząc mu w oczy.

— Jakiej jesteś broni?—przerwał.

— Lansyer polski.

— Z pod Tudeli?

— Tak.

— Nazwisko?

— Poszedłem z domu mego ojca... Wierzyłem, że moją ziemię... A teraz... na obcej... Wyrzecz, że nie nadaremnie, że dla mojej ziemi... Cesarzu, cesarzu!

Nieme i głuche oczy zagłębiły się i weszły w oszalałe ze śmiertelnej miłości spojrzenie ranego. Nieruchomy, zadumany stał Napoleon. Któż wie? Może w tych natchnionych oczach ujrzał duszę swą młodą. Może rumiane śniegi skał Monte Oro, pinie na cyplach Monte Rotondo, może kamienisty brzeg wyspy w pianach rozhukanego morza zobaczył. Może swoją korsykańską miłość wolności ważył przez chwilę na szali z koroną władcy nad obcymi mu ludami i berłem Karola Wielkiego. Może wzdychał w utrapieniu za tem, co już w duszy jego uschło, skruszyło się i od wiatrów rozwiane zostało, jak badyl umarłego kwiatu, za pochłonięciem młodą, sprawiedliwą i dumną duszą niedoli ojczyzny.

— *Vive la Pologne!* — usiłował krzyknąć Cedro, padając bez sił w swój barłóg. Ale nie krzy-

knął już, tylko te wyrazy wyjęczał przez fale krwi, broczącej z ust.

Cesarz stał jeszcze nad nim długą chwilę. Kamiennym wzrokiem patrzył w jego twarz. Wreszcie podniósł rękę do kapelusza i rzekł:

— *Soit.*

Oddalił się wolnym, miarowym, zimnym krokiem. Za nim gromada generałów. Znikł między kolumnami wojsk pieszych, w tłumach konnicy...

# ZAMIEĆ



Ledwie się drzwi zamknęły i dwaj Olbromscy,—Rafał i syn jego Hubert,—stanęli na ganku, wichura poczęła ich szarpać na wsze strony. Zadęty był cały ganek i pół sieni. Ciemność, choć oko wykol, niezgłębiona była wokoło. Mały Hubert brnął po zaspach, po czemś, niby dachy, i nie mógł wyjść z podziwu, że jest na znajomej drodze, wygradzonej z dwu stron parkanem do motkowskiego dworu. Z okien dworskich padały rzęsite smugi światła. Dojrzał w jednym promieniu ogromnego parobka w grubym kożuchu i baraniej czapie, na której osiadła druga czapa, śniegowa,—jak trzymał u pyska Łyskę. Grzywa Łyski fruwała, a ogon niosło w bok za wiatrem. Namacali obadwaj z ojcem saneczki, dwa w nich siedzenia ze snopków kłoci okrytych kilimkami. Wszystko było śniegiem grubo zadęte. Na tylnem siedzeniu już się nawet usadowiła spora zaspą, gość nieproszony. Łyska chrapała, biła kopytami.—Wysoko, w ciemnem pustkowiu nocnego nieba, huczały wielkie topole i lipy, otaczające dwór, oraz zabudowania motkowskie. Ten głos był tak złowrogi, że lęk



niepojęty serce dziecka ogarnął. Widziało się, że to jakowaś dzika moc niesie się wśród poświstów górami — niewidokiem ponad cichą, przyziemną siedzibą, że się z pustki polnej wywiera przeciwko światłom jej okien. Huk ciągły, jednostajny, wznosił się kiedyniekiedy do niedosięgłej wyżyny. Małe serce mdlało i truchlało, poddane temu nieubłaganemu głosowi.

Parobek Walenty uspokajał kobyłkę, przemawiając do niej słowami, których drukować nie sposób. Wsunął wreszcie lejce w ręce pana Rafała Olbromskiego, gdy poznał, że się ten już umieścił na przednim siedzeniu — i znikł wnet w nocy, przepadł w ciemności, stał się niczem, jak sama ciemność. Z ganku zabrzmiał w wichrze pożegnalny głos motkowskiego dziedzica, ale słów już nie można było rozeznąć. Wiatr je z warg porwał, uniósł w noc i jakby w śnieg cisnął. Pomknęli z miejsca. Łyska zmarznięta, schłostana od wiatru, susami wypadła z podwórza, minęła pierwszy zakręt na prawo za bramą, po chwili drugi na lewo... Sanice zatoczyły okrągły kształt dwu brzuśców litery S i pomknęły na szeroki wygon drogi ku Wyrwom. Huk drzew przycichał, wnet ustał, jakby się w ziemię zapadł. Olbromski-ojciec orjentował się co do wiatru. Wiatr bił z prawego boku, od lasów, i wyraźnie świstał między żerdziami obustronnego płotu tej drogi. Między temi płotami leżały zasy niewiarygodnej wysokości. Klaczka wnet się wysie-

pała, kopiąc się w śniegach, choć saneczki były najłżejsze, jakie być mogły, bose, obciążone tylko dwiema z boków deskami i parą siedzeń. Dla przebycia zasp trzeba było torować szlak w śniegu sypkim, jak pył najłżejszy, ale głębokim na chłopa. Szukając drogi sposobniejszej, Łyska szła to w prawo, to w lewo, szarpała sanie aż dyszel trzeszczała i skręcała na miejscu, gdy jej nozdrza i oczy raziła zadymka, tnąca ostremi pyłami. Obadwaj podróżni pamiętali, że są w opłotkach i co chwila radzili z cicha, czy jeszcze nie wyminieli wygonu. W pewnej chwili wątpliwość nasunęła się aż nazbyt wyraźnie. Pan Rafał Olbromski zatrzymał kobyłkę w miejscu, kazał Hubertowi wysiąść, iść na prawo i zbadać, czy na płot trafi. Mały Hub wyskoczył w śnieg, szedł jakiś czas we wskazanym kierunku, brocząc w zaspie, ale płotu nie znalazł i poprzedniego świstu między żerdziami nie słyszał. Ruszyli teraz wolniej, noga za nogą, pustkowieciem, gwarząc o ciemności i wietrze, i dopytując się raz wraz nawzajem, czy im nie zimno i czy nogi nie przeziębły. Mały Hub miał dopiero lat jedenaście, ale te miejsca znał jak najstarszy ze starych. Między rodzinnymi Wyrwami a folwarkiem sąsiadów na Motku było niecałe dwie wiorsty odległości. Obiedwie habendy dzieliła rzeka, płynąca w nizinach, oraz przestrzeń nieużytków po wyciętych i wykarczowanych lasach, pełna wykrotów i pniaków, dołów i wywożanych kamieni.

W pustkowiu tem stały jeszcze tam i sam nasienne drzewa, przeważnie wielkie jodły. Każde z tych drzew Hub znał, jak swoją kieszeń. Na szczycie każdego z nich był, pod każdym na coś czatował, chronił się od deszczu albo upału. To też teraz wbijał oczy w ciemność, usiłując dostrzec znajome kształty jedli lub świerka, żeby ojca zakasować w znajomości terenu, żeby pierwszy dać znać o jarząbie z pasyjką, albo o jodle podpalonej. Lecz czas mijał, saneczki sunęły w śniegach, jak łódź po wzburzonych bałwanach, a przewidywanych znaków nie było w mrokach ani śladu.

Podmuchy wiatru ciskały na sanki istne fale. Sypało jak z wora miękkimi płatami, albo ciął w oczy i uszy grad ziarnisty, zacinający aż do krwi. Sanie już to chyliły się na bok, już uderzały o jakoweś twarde przedmioty podśnieżne. Międzyłęśna, pustkowiana burza stawiała się coraz dzikszą. W nieprzejrzaney dali ryczały przeraźliwe głosy, istne wycia leśnych djabłów. Las li to huczał, czy się waliły wody z upustów na Motku? Łyska chrapała niecierpliwie. To się zrywała do biegu susami, to znowu z trwożnem prychaniem stawiała w miejscu. Podróżni spostrzegli, że mają wiatr za plecami. Jechali tedy w złym kierunku.

— Wiatr ją w nozdrza bije i szelma kręci mi się w rękach...— rzekł pan Rafał do syna.

— Niech ją tatko od siebie i ostro, batem po nogach!

— Ba! — żebym to wiedział!.. Od siebie mówisz?

— Musimy pod wiatr, bośmy tak wyjechali.

Wzięto się pod wiatr, mimo Łyski oporu. Jechali teraz ostro, wprost w paszczę nawałnicy. Przejmujące zimno ozionięło ich, jak lodowatą wodą. Huk się wzmógł. Ze wszech stron, wirem pędziły kłęby kurzawy.

— Zakryj się! Skul się i owiń kilimkiem! — wołał na syna Olbromski.

Słowa te leciały porwanemi sylabami, jakby płatami, na obraz śniegu. Obiły się tępo o dziwnie przytłumiony słuch.

— Mnie ciepło — odkrzyknął mały.

Zwinał się w sobie, ręce zasunął w rękawy bekieszy, głowę wtulił w ramiona i cieszył się z wichury, ciemności i jazdy, głównie zaś tą pewnością, że to jest jeszcze dziś, nie dzień jutrzejszy, nie ten ohydny, fatalny, ostatni dzień godnych świąt, po którym trzeba wracać z umiłowanej strony, z domu i ukochanych rozłogów — do szkoły.

W pewnej chwili ojciec zatrzymał Łyskę. Medytował w milczeniu.

— A co, tatku? — zagadnął Hubert.

— Co u licha! Nie wiem, gdzie jestem... Niby Motki—tam. Wyrwy—tak jakby tu... Ale w takim razie powinienby już być rozdół, rzeka, most. Tymczasem tu jakby wciąż pod górę...

— To prawda. My wciąż jedziemy pod górę...

Olbromski przez czas pewien rozmyślał bezradnie. Wicher chłostał go po twarzy nie tylko garściami śniegu, lecz i włosiem ogona kobyły, który, jak bat, świstał na strony. Zimno przejmowało do kości. Ze wstydu i w pasji zaciął kilkakroć batem ciemny kształt koński. Łyska skoczyła przed się, targnęła sanie i pomknęła pod wiatr znowu. Pędzili galopem, na oślep przez czas długi,—tak dalece długi, że można było znakomicie przejechać z folwarku do folwarku. Sanki magwały się z boku na bok, leciały w jakoweś doły i wyrwy i uderzały swemi nosami w zagony. Gdy znowu przystanęli, nie słychać było nic, prócz huku lecącego górami i świstu między sanicami.

— Pole do stu djabłów! — unosił się Rafał Olbromski. — Jesteśmy na jakimś polu... Cóż to za rola? Zleż-no, synku, i popatrz, w którą stronę idą zagony... Może co z tego wymiarkuję...

Hub ochotnie poskoczył, deptał tu i tam grzbiety zagonów, aż wreszcie stanowczo, niemal z triumfem oświadczył, że zagony idą tak i tak. Nie na wiele się to przydało. Po długim zastanowieniu zdecydowano, że skoro wiatr ciągnie stąd, a zagony idą tak, więc trzeba jechać w takim oto kierunku. Pojechali. Z zagonów sanie przemknęły na nieużytki i znowu poczęły przewalać się z boku na bok. Trafili w jakieś krzaki, zupełnie nieznanome, w miejsca najzupełniej obce, nie istniejące w jakimkolwiek wspomnieniu. Zdumienie ogar-

nęło obudwu. Za temi zaroślami były jakoweś kamieniste wertepy, niemożliwe do przebycia i również nieznane. Poczęło to Olbromskiego doprowadzać do rozpaczliwej pasji. Stosując się do rady ojca, Hub wysiadł, ujął Łyskę za uzdę u pyska i jął ją prowadzić pod wiatr, żeby nie zbaczała z obranego ku domowi kierunku. Rafał Olbromski siedząc teraz beczynn timer, nasłuchiwał, czy się w którejkolwiek stronie nie odezwie naszczekiwanie psów. Powinna była być w stronie, dokąd dążyli wieś jedna i druga, powinny były być na uboczu kolonie czynszownicze, samotne chaty na odludziu... Nigdzie, znikąd odgłosu życia! Hub z miłością głaskał pysk klaczy, szeptał jej do ucha sekretnie słodkie słowa i odmierzał pieszczotki. Wkrótce, brnąc pod wiatr w zaspach, zdyszał się i spociał doskonale. Sprawilo mu to szczerą rozkosz. Czuł się na równi z ojcem mężczyzną, doznającym niepowodzenia, a nawet niebezpieczeństwa. Zresztą to, co się działo, było dobrem, bo dzieliło i wciąż jeszcze trzymało w oddali od fatalnego jutra. Pod nogami, w głębiach śniegu czuł pustkowier i rad był, że to jest wciąż jeszcze pustkowier, a więc miejsce dalekie od Wyrw i od Motka. Radby był iść tak przez całą tę ziemię i przez całą noc, wzniosłą w swej świszczącej potędze, piękną w nieprzeniknionym mroku i radosną nad wszelkie słowo w swej rozpasanej dzi-



kości. Och, radby był iść tak obok ukochanej, najmilszej Łyski na kraj świata!

Inaczej w tem pustkowiu czuł się ojciec. Wstyd go prosty palił i ogarniała wściekłość. Wąłęsał się oto po przestworze, znanym, jak własna izba, po dziedzinie, którą od tylu już lat zamieszkiwał, zimą i latem po tysiackroć przebył we wszystkich kierunkach... Było to zarazem śmieszne i głupie błąkać się w polu między Wyrwami i Motkami, gdzie z zawiązanymi oczyma każde dziecko trafi do wymienionego punktu.

W trakcie pochodu przez zaspy Hub posłyszał przed sobą szczególny szum. Zrozumiał, że to huczy w wichrze wielkie drzewo. Skierował natychmiast ku niemu Łyskę i wnet mokre, grubo śniegiem obwalone gałęzie jodły, jak łapy potworne, ogarnęły go z prawej i z lewej strony. Przystanął. Ojciec zsunął się z sanek na ziemię i zbliżył do drzewa. Oglądali je obadwaj z synem, obeszlili dookoła i... po szczegółowem badaniu przyszli do jednomyślnego wniosku, że jest to jakieś drzewo zgoła nieznajome, jakby nie tamtejsze... Stojąc obok tego drzewa, które huczało swą wzniosłą i niepojętą pieśń, Rafał Olbromski przenikniony został nagle a niespodziewanie przez dawny, zapomniany lęk... Ohydne wspomnienie prześliznęło się wskroś jego duszy. Obawa o dziecko ścisnęła mu serce. Kazał chłopcu wejść na sanki, owinąć przemoczone nogi kilimem, -- a sam stał



w zamysleniu bezradnem obok konia. Postanowił jedno: nie oddalać się od spotkanego drzewa. Ale czekać do rana na swem, czy sąsiedzkim polu!... Było coś obrzydliwie śmiesznego w samym zarodku tego postanowienia. Wyjechali byli ze dworu na Motku zaraz po kołacji, więc na jakie dwie z górą godziny przed północy. Mieli tedy przed sobą do świtu dziesiątek godzin. Wahając się co czynić, starszy pan ujął klacz za uzdę i wprowadził za drzewo, zasłaniając ją tym sposobem od fali wiatru. Wziął chłopca z sanek na ręce i przeniósł go dla rozgrzewki na grzbiet kobyły. Hub siadł oklep na Łysce z radością i czule ją zaraz objął rękami za szyję. Klaczka wraz głucho a z cicha westchnęła, — nie wiedzieć z radości czy ze smutku, — i poddała się losowi. Ciepła para dymiała się z niej obficie.

— Nasłuchujmy, synku, szczekania psów!... — rzekł ojciec.

Słuchali tedy pilnie—pilnie. Obijały się o ich uszy zdala lecące poświsty i przyziemny huk, gdy wichler głuchami polami gnał w międzyleśne szyje, na zamarzniete smugi i przydęte pastwiska, w doliny wśródgórskie. Głęboka do nich mówiła samostna moc i groźny urok obejmował dusze. Obadwaj byli zasypani śniegiem, zgrzani i wzburzeni. Nim się spostrzegli, już ich poczęło zadymać, a sąsiek śniegowy rósł stale dokoła nóg końskich i przed saniami. Drzewo powiewało gałęzmi. Od

chwili do chwili, po krótkich przerwach ciszy, działał się w nim jak gdyby taniec przedziwny, pełen pohutnego kłapania. Hub wbijał oczy w ciemność, z przestraczem i zdumieniem spostrzegając, jak wielkie łapy jodłowe, obleczone w grube, białe rękawice ze śniegu, klaszczą raz wraz jedna w drugą—„kosia—kosia—kosiana“... Zdało mu się widzieć zawodzenie czubem pijanego, głupio-ślepego—„da-dyna“...

Dalsze splawy drzewne, szerokie i obwisłe, zamieć podgarniała wysoko, jakoby podół olbrzymiej spódnicy i wiewała niemi dokoła konia. Wewnątrz włochatych gałęzi pień głucho i ponuro stękał.

Aczkolwiek jodła osłaniała od wiatru, zimno się wzmagало. Stojących bez ruchu wicher przemawiał w ramionach i plecach do szpiku kości. Nogi od wielkich palców poczynają kłuć szpilkami. Śnieg stawał się coraz bardziej gęsty, sypki i zaciekły.

Pan Rafał okrył plecy chłopca kilimem, obie dwie jego nogi obrócił w jedną stronę z końskiego boku, sam przytulił się do tego boku i grzał dziecko sobą. Stopy swe w śniegu otulił drugim kilimem i tak, objawszy się, grzejąc konia i nawzajem przezeń ogrzewany, pod zasłoną drzewa przetrwać postanowił burzę. Tymczasem zadymka wciąż potężniała, a wiatr się do istotnego szalu rozpętał. Ojciec raz wraz upominał synka, żeby

zaś nie drzemał. Ale malcowi, właśnie jakby na przekór, śnić się poczynały różności, głowa jak kowadło ciężyla, a oczy zlepiały się, niby pod nawalą lotnych płatków śniegu. Wielka jodła śmiała się z niego niemiłym chichotem,—magał się w mroku potworny jej kadłub, jakoby obraz grubego i sprośnego chama, gdy spity do zbydlęcenia w czarnem karczmisku tańczy sam ze sobą w próżni i szaleństwie. Chwiliami ów taniec przeistaczał się w groźne zawodzenie. Objęcia gałęzi schylały się nisko, coraz niżej. Długie pazury, wysunięte z kosmatych, białych osłon, sięgały po głowę...

Pan Rafał w półdrzemaniu czuwał wciąż nad jednym wspomnieniem. Miał w wyobraźni stada wilcze. Zaniedbał był wziąć broni ze sobą, a wilki w tej leśnej stronie nie były rzadkością. Zimową porą stada ich zaglądały na podwórze folwarków. Teraz żywiej, niż kiedyindziej, miał w pamięci zdarzenie, gdy w noc księżycową, na skutek zajadłego szczekania kundysów pod dworem, wyrzawszy oknem, zobaczył ogromnego wilka tuż pod ganekiem. Przypomniały mu się najżywiej wszystkie afekty, gdy, naciągnawszy buty na bosc nogi i narzuciwszy na ramiona tylko lisiurę, wyszedł na ganek i strzelił do napastnika. Pamiętał, jak pojedynkowi uskoczył za bramę i jak to on sam jeden—z ostatnim nabojem w lufie dwururki — pędził za nim wygradzoną drogą aż poza stodoły. Przeszedł wspomnieniem kolejno każde wrażenie, gdy tak

naprzeciwko siebie stali w jaskrawem świetle księżyca: wilk w polu, o kilkanaście kroków oddalony, i on sam pod wysokim parkanem za folwarcznemi stodołami. Oto śni się, że jak wtedy zmierzył do zwierza i trzyma kolbę przy policzku... Oto wilk nagłym piorunowym susem skoczył ku niemu i runął mu u nóg, gryząc krwawym pyskiem zmarznięte zagony, gdy go nieomylnym strzałem powalił.

Mrowie tamtego wspomnienia nie chciało z ramion odejść. Tkwiły wciąż w nieświadomej pamięci nieznośne obrazy bezrozumnej walki z potworem za dawnych dni młodych... Postanowił czekać choćby do rana i nie oddalać się od drzewa, ostatej obrony w razie napadu wilczej czeready. Nie było to zaiste rozumowanie, lecz gorzkie czucie,—napół jasnovidzenie czegoś groźnego, co w pobliżu czyha pod zasłoną tej ciemnej nocy.

Hub coś sennie gwarzył. Głównę oparł na ojcowskiem ramieniu. Wszyscy troje, nie wyłączając Łyski, cierpliwie nasłuchiwali, raz wraz podnosząc głowy i nastawiając uszy. Gdy wiatr się znagła wzmagął na obraz szaleństwa tego całego obszaru, a noc huczała,—pan Rafał otulał szczelniej derań dziecko, sam się doń przyciskał i czekał z bijącym sercem.

I oto znagła, jak gdyby wyczarowane z nicości przez niepojęte uczucie,—kiedyś w nocy, dale-

ko—daleko błysły i pogasły dwa światełka. Wnet znowu błysły — i przygasły.

— Wilcze ślepiea... Czy sen?... — zmagał się w sobie Olbromski.

Wlepił w próżną noc oczy... Oto znowu:—zabłysło — przygasło!... Porwał dziecko w ramiona, — przekonany, że to nie złuda, — nie mówiąc ani słowa, otulił je w derę i chwilę jeszcze czekał, nim się rzucić i drapać po gałęziach na szczyt jodły. Głucha wewnętrzna modlitwa snuła mu się po wargach.

Dwa światełka znowu zaświeciły i zgasły. Lecz razem w podmuchu wiatru dopadł ucha tęskny, błogi dźwięk.

— Tatuś! — Dzwonek! — porwał się mały.

— Tak jakby prawda... Dzwonek... — wyszeptał ojciec.

Wpatrzyli się w przestrzeń. Wsłuchali w wicher. Dojrzeli przeciągle błyszczące dwa światła. Ujrzeli wyraźnie ich kołysanie miarowe. Usłyszeli daleki — daleki pogłos... Serca uderzyły z radości. Zaszepotali do siebie bez sensu i związku. Połysk i głos zbliżały się bardzo powoli. Czekali cierpliwie, w milczeniu. Nareszcie, gdy w ciągu kilku chwil obaj widzieli wyraźnie migotanie i słyszeli daleki klangor jednotonnej melodji dzwonka, rzucili się do sanek i pojechali co tchu na spotkanie światła. Łyska, skostniała z zimna, w cwał pobiegła.

— Kto też to tędy może jechać ze światłem i dzwonkiem? — głośno rozmyślał Olbromski.

— Może to nas Michcik szuka?

— Ale gdzie! W najgorszym razie przypuściłby, że nocujemy w motkowskim dworze.

Coraz wyraźniej widzieli dwa kręgi światła latarni i odróżniali każde uderzenie podróznego dzwonka. Wreszcie pan Rafał okrzyknął zdala zbliżający się pojazd. Światła w miejscu stanęły. Podjechał blisko—i spostrzegł w światłach padających od latarni zady dymiące, nogi i uprząż pary koni.

— Kto woła?—spytano od światel.

— Ludzie zbłąkani w polu. A kto to jedzie?

Nie odpowiedziano na to pytanie. Olbromski podciął Łyskę i zbliżył się do samych sanek. Odał wodze w ręce Huba, a sam wysiadł i poszedł poza latarnie.

— Któż to jedzie?—pytał powtórnie.

— Z poczty jedziemy...

— Tędy z poczty?

— No tędy.

— A kto jesteście, człowieku?

— Ja pocztyljon. Pana przejezdnego wiozę na sandomierski trakt.

— Skądże wam do głowy przyjsć mogło tędy lasami jechać na sandomierski trakt?

— No, ja jadę, jak każą. Dziś pan przyjechał skądsi zdaleka, pocztę najął i kazał jechać na sandomierski trakt. A wyście co za jedni, ludzie?

— Ja tutejszy, z Wyrw dziedzic, — alem, do djabła! w powrocie do domu pobłądził. Pocztarek, wiesz ty może, w której stronie będą Wyrwy?

— Dy my stamtąd, z Wyrw jedziemy.

Jakim sposobem?

— Zajechaliśmy tam, jak się ta zadma z samego wieczora zawzięła. Pan się bał puszczać na taki czas. Ale dziedzica nie było, sługa nas ta stary nie chciał przyjąć na nocleg, powiedział, że nie bierze na swoją odpowiedzialność, bo pana niema, a my nieznajomi, no i musieliśmy puścić się dalej na całą noc. Tak jedziemy noga za nogą. To samo nie wiemy, gdzie my są teraz.

— Most na rzece przejechaliście?

— No, dopiero co!

— Ludzie! wróćcie się ze mną do Wyrw. Przenocujecie we dworze, a nam latarnią poświecicie, żebyśmy mogli do domu trafić.

— A wyście to sam pan dziedzic z Wyrw?— dopytywał się pocztarek.

— Sam, Olbromski.





PORANEK ZIMOWY



Machnicki porwał się z posłania, umył i odział co prędzej. Już słaby brzask dnia zaglądał przez szyby zamarznęte i do połowy okien grubo zasypane śniegiem. Gdy poczęli rozmawiać z gospodarzem domu, z sąsiedniego pokoju dał się słyszeć głos młodszego pana Olbromskiego. Junior wstawał z pośpiechem, wdziewał buty i ubranie. Ojciec począł mu w tem pomagać ze szczególną, iście koleżeńską pieczołowitością. Gwarzyli o czemś swoim, o snach, wczorajszem błędzeniu i przygodach tej nocy. Wnet mały licealista wyszedł do pierwszego pokoju i w sposób przepisany szastnął nogą w kierunku nieznanego gościa. Gość witał go z niewymowną serdecznością. Trzymał jego małą rękę w swej dłoni i nie mógł jej jakoś żadną miarą wypuścić. Przyglądał się a przyglądał jego twarzy. Mały był czerstwy i urodziwy, tęgi i zażywny. Włosy, zmoczone wodą, jeżyły się szcietkowato na jego głowie, — wypucowana twarz miała kolor czerwonego jabłka. Wnet wszedł Michcik, niosąc imbryki i farfury, zawierające kawę i śmietankę na starej tacy. Wszyscy trzej zasiedli do śniada-

nia. Rafał Olbromski pił i jadł ociężale. Myśli jego przerzynały się przez istny chaos, nawał i ogrom wzruszeń. Wszystko spadło nań nagle w ciągu tej jednej nocy. To też zgola nie mógł mówić, pochłonięty przez zwichrzone myśli. Hub przypatrywał się gościowi z pod oka. Mierzył go, oglądał, spuszczał oczy i znowu wracał do badań. Machnicki szybko załatwił się ze śniadaniem i zapragnął wyrzucić na świat, zwłaszcza, że dzień się już zrobił zupełny. Prosił jednak o umożliwienie mu wyjścia w sposób taki, żeby go najmniej ludzi widziało. Wobec tego, że Rafał Olbromski był nadzwyczaj zajęty, Hub podjął się przewodnictwa po Wyrwach.

Ruszyli tedy przez boczne drzwi. Zamięć zimowa już ustała, — choć podmuchy wiatru jeszcze od czasu do czasu przeciągały. Wówczas z czubów i przełęczы zasp dymiły się lotne, łatwo zwiewne pyły śniegowe. Słońce weszło za lasami, za borami i błękitna jasność niewysłowionego wdzięku zappełniała wszystek przestwór. Powietrze było przeczyste, nieskalane. Dalekie góry i ciemne lasy ośnieżone do cna, pokryte jasną oponą. Po nocnym huku ranna cichość miała w sobie wartość niewymownego ukojenia. Zaspy były tak wielkie, i tak monstrualnych postaci, że te ich kształty wskazywały dowodnie, jak potężna była nocna burza. Od wielkiego modrzewia, którego śliczna postać o kolorze delikatnej rdzy rzucała się w oczy po wyj-

ściu za drzwi domu, zwisały z gałęzi i łączyły się z ziemią chusty śniegowe tak cienkie i zaopatrzone w strzepy i zęby, że były namacalnym obrazem polotności zadymki. — Wszystkie gałęzie drzew i drzewek pouginały się pod ciężarem czystego puchu. Na płotach i po sztachetach snuł się wełnisty baranek białopuchy. Ostrza balas powdźwiewały ogromne i czubate czapy. W dali zagaja, krzaki, chrósty znikły pod jednolitą śniado-białą powłoką. Machnicki ujął swego towarzysza za rękę i zeszedł z nim w śniegi. Brodzili w nadobnym, zwiewnym puchu, ciesząc się na równi każdym obrazem i każdym szelestem. Nikogo nie było w ogrodzie i pozapłociu dworskiego obejścia, nikogo w polu i na horyzoncie. Gościniec zadęło krzyżowemi sąsiekami zasp, — ścieżki poznikały, furtki ogrodowe ledwo było widać. Poszli tedy przez tę, która była przed burzą otwarta, a teraz miała zaspę wysoką na wrotni. Śmiały się do przechodniów ogrodowe drzewka, niedawno posadzone, w swych słomianych chochołach z plecionej kłoci. Nagiemi prętami kiwały dwie stare wierzby pod płotem, rzucając tym ruchem w serce małego Huba mętną boleść nie do zniesienia. Tam to, niżej, obok ścieżki wysadzonej agrestowemi i porzeczkowemi krzewy, których tylko najwyższe czubki wyglądały ku słońcu, tuliły się pomiędzy sobą gile i szczygły, mocno cienkimi łapkami obejmując zimne pręty. Pędy porzeczkowe zwisały

ku ziemi pod ciężarem szczyglim, a puch śniegowy sypał się z pod nastroszonych podgardzieli i brzusków. Szczygły przekrzywiały głowy i wypukłemi oczyma przyglądały się intruzom, powierzając sobie o nich jakieś krytyczne uwagi. Młodszego intruza znały dobrze, gdyż sypał im zawsze siemię lniane. Dziś nie przynosił siemienia, to też gile i szczygły poczęły uskarżać się na niego swą niepojętą, a nieprzychylną dnia tego gwarą proletariacką. Gdy się zbliżał, coś w ich stronę pokrzykując w swej gwarze chłopczyńskiej, zrywały się z miejsca, nie tyle — z przestrachu, ile z chwalebnej przezorności. Siadały wnet na różgach sąsiedniej krzewiny, żywo dyskutując o całym zajściu, nie bez gestykulacji ogonkami. Czerwone gile sfruwały również ze swych stanowisk, lecz jeszcze bardziej ociężałe niż pobratymcy. — Świergot szczygli był po swojemu radosny, ale jego natarczywość świadczyła o wielkim apetycie. Ptaszki przekrzywiały główiny, a dzioby ich, osadzone jak gdyby w czerwonych piastach, skrzydełka muskane jasnożółtymi smuskami, tworzyły w białości powszechnej prześliczne zabarwienie. Podmuchy wiatru podwiewały ich wzorzyste sukienki, na które — tak się widzom zdawało — zorza niewidoczna spłynęła pierwej, niż na błękit i białość śniegów.

Hub przeprosił gościa, dość, co prawda, niezrozumiale, — że go na chwilę opuści. Pobiegł, śnieg na wsze strony rozpryskując, i wkrótce wró-



cił z sakwą, uczynioną z worka, jakiego się używa do wyciskania sera. Na widok tej sakwy wszczął się niemały rozruch, tumult i gwałt w społeczeństwie szczygłem i gilem, — świadczący o dobrych stosunkach potomka rodu Olbromskich z wymienionemi zespołami ptasiami za tych odległych czasów, które tu przyszło nam opisywać. Hub rozwiązał swą sakwę z powagą, uroczyście i wśród pewnego rodzaju perory. Powtórzyć dosłownie tę przemowę stanowiłoby po upływie tylu lat, w tej chwili, trudność nie do przezwyciężenia, to też ją, jako szczegół mniej ważny, opuszczamy. Udeptał następnie obcasami i podeszwami w punkcie, którego topografię znał, oczywiście lepiej, niż jego milczący towarzysz, pewien rodzaj klepiska. Śnieg nie stawiał oporu, poddawał się łatwo podeszwom i obcasom, zwłaszcza, że Hub wykonywał pracę podstępnie, żywo, a jakby w prysiudy. Ruchy jego niespodziane zlewały się w jakiś taniec, który należałoby nazwać ptasim. Machnicki pomagał w przedsięwzięciu swemi wojskowemi butami, ale na krańcach tylko terenu i nieśmiało, gdyż nie był świadom ani właściwej metody prysiudów, jakie w danym porządku czynić należało w tych obcych dlań krajach, a nadto wątpił, czy jego inicjatywa dobrze będzie widziana i przyjęta. Miejsce dobrze ubite zajaśniało równą powierzchnią w zagłębiu i Hub wyłożył pierwszą emisję ziarna w tem Prytaneum. Zarówno szczygły, jak gile rzuciły się na

plac z ordynarnym zapalem, wydajac okrzyki czę-  
stotliwe, świadczące o niezmiernej smakowitości  
konopnego siemienia. Wielkie, szybkie i zaciekle  
powstało zajadanie, nie przepuszczając ani jedne-  
mu ziarnku. Aliści z dalekich stron, od czarnego  
młyna i wielkich olch, nadleciały istne tabuny wró-  
bli. Czarniawa tego pospólstwa obsiadła czuby pło-  
tu pleciaka, okalającego ogród, rozmiotła na wsze  
strony mnóstwo pyłu śniegowego i ze swarem rzu-  
ciła się na resztki pastwy. Hub, jako samowładny,  
ale oświecony władca, rzucił między te szare skrzy-  
dełka, czerwone podgardla i nakrapiane brzuszki  
nowe garście, jedną i drugą. Ale dobroczynność  
despotów, choćby i najbardziej oświeconych, szyb-  
ko się wyczerpuje, zwłaszcza, jeśli w worku brak-  
nie naprawdę siemienia. Hub wysypał wszystko,  
co było, do ostatniego ziarenka, przewrócił worek  
na nice i wewnętrzny śpiczasty róg okazał zgroma-  
dzeniu... Ale ani zawiązanie worka w węzeł, ani  
inne prawdę głoszące gesty nie wywarły dobrego  
wrażenia. Przeciwnie, wszystko przyjęte zostało  
z oziębłą nieufnością, a nawet niedowierzająco-  
drwiącym szczebiotem, — jak to bywa u zgłodnia-  
łego tłumu. Hub odszedł z tego miejsca ptasiej  
żarłoczności, niosąc pod pachą worek, a w sobie  
poczucie spełnionego obowiązku. Niósł jeszcze coś,  
z czem wydać się nie chciał przed nieznanym  
panem: żał za gilami, żał za szczygłami, których

barwy wielorakie wily mu się pod powiekami, tworząc zaiste czerwone i żółte łzy.

Biegł tedy w dół ogrodu, po zadętych ścieżkach, pełnych teraz takiego wdzięku, jakiego jeszcze nigdy nie widział na ziemi—chyba w snach, które się czasem śnią w dzieciństwie. Na dole obadwaj z Machnickim rozgarnęli nogami zwiewną zaspę, która zajmowała otwór furtki i wyszli nad staw, rozciągający się tuż za płotem ogrodu. Teraz nie było go wcale widać. O jego istnieniu świadczyła tylko nadzwyczajnie równa powierzchnia i dwie ciemne przyręble, obłożone wokół grubemi bryłami wydobytego lodu. Na prawo był młyn czarny, ogromny, posępny, skryty za pogródkami i groblą. Nawisły jego dach siedział na tak niskim kadłubie, utopionym zresztą w zaspach, że się wydawało, jakoby stał wprost na ziemi. Okap tego dachu, spoidła pogródek, przecznice koła wodnego, obwieszane były teraz mnóstwem najcudniejszych sopli lodowych. Wpółśród ich lśnienia, migotań, niewymownie delikatnych barw, obracało się powoli tajemnicze, wielkie czarne koło, — doskonały i potężny obraz wiecznego nawrotu pracy wioskowej, przetwarzania się jej bez końca i tożsamości, która wciąż idzie tam, skąd wyszła, — piękna podobizna i wyraz życia wsi, wiecznego stania w miejscu. Na końcu stawu złożyły się tak roczne trzciny, których przydęte kity uwydatniało ranne słońce. Tuż za pogródkami był na grobli

wzgórek, stanowiący, widać, odwieczną, naturalną ostoję, w którą z dwu stron grobla wrosła, zata-  
mowując bieg strumieni. Ten wzgórek obrośnięty  
był wielkimi olchami. Wśród grubych pniów, ze  
strony burzy ośnieżonych srebrzyście, stała dREW-  
niana figura jakiegoś świętka. Hub nazwał go  
przed Machnickim świętym Janem. Kloc ten z drze-  
wa rzeźbiony prostacką ręką snycerza, był już  
zmurszały i popękany. Śniegi go teraz zadeły do  
połowy, na ramiona i na piersi wdziały mu nową,  
przezroczystą komżę, na głowę mitrę tajemniczego  
kształtu. Machnicki zbliżył się do figury i tam  
przystanął. Hub na widok ładu i ślizgawki, prawdę  
powiedziawszy, zapomniał o gościu i obowiązkach  
przewodnika. Rozpędzał się siarczyście po gład-  
kim śniegu i ślizgał daleko w wyszorowanej po-  
deszwami, czarnej smudze szczerego lodu. Gdy biegł,  
lód dźwiękał pod jego obcasami. Buzia chłopca  
zaczerwieniła się, jak rumiane jabłuszko...

HONOR



Hub spostrzegł, że rola gospodarza inne nakłada obowiązki, niż zażywanie ślizgawki w chwili, gdy gość nie wie, w którą stronę podążyć. Zbliżył się tedy z zawstydzeniem i wyjąknął, że grobla prowadzi na tamten brzeg doliny. Machnicki chętnie poddał się woli swego przewodnika i szedł po jego małych śladach. Stąpali po przydętym lodzie, czarnym pod zewnętrzną powłoką. Hub się ośmielił. Opowiadał tedy o głębokości wód, szczególnie w zakręcie rzecznym, gdzie nurt wpada do stawu — o kolosalnych kłodach rosochatych drzew, które leżą w tych głębiach, — o wielkim szczupaku, zjadającym młode kacząta, gdy się je nieopatrznie puści na wodę, — o przywarach okoni, łowionych na wędkę i o swych własnych przygodach podczas połowu linów w wiecierze... Krążyli po tafli stawu, gwarząc o sprawach żywota okolicy. Wyszli na brzeg przeciwległy i puścili się w górę. Krzyż, stojący między jałowcami, wskazywał, w którą stronę dąży droga. Opłotki z żerdzi były teraz, jak szkielec, na którym zawisła urocza cielesność śniegowa. Jałowce z prawej i lewej strony, zanesione do cna, przeistoczyły się w czarodziejstwo kształ-



tów najfantastyczniejszych pod słońcem. Jaskinie i przejścia podspodnie, kopce i szczyty strzeliste, przedziwne doliny, kopuły i wnęki... Jakże się stało wesoło! Oto z krzykiem porwały się stadem kwiczoły, żerujące w zaciszu na jałowcowych gałęziach! Z dzwonnym pokrzykiem poniosły się w modrą dal. Został po nich w uchu dźwięczny klangor, a w oku lotny połysk. Na drzewie jarzębiny, widziałem w odległości, jemiołuchy ćwierkały, jakby trzęsąc się z zimna. Hub miotał się wśród zasp, powiadając gościowi niestworzone historie o jemiołuchach i kwiczołach. Ale oto znagła zagadnął:

— A jegomość pan jest wojskowy?

— Nie, kochaneczku.

— A jegomość pan był wojskowy, tak jak tatko?

— Byłem, dawniej.

— A w jakich jegomość służył?

— Et... w różnych...

— To i na Moskwę jegomość chodził?

— Na Moskwę chodziłem.

— Razem z moim tatusem?

— Nie koniecznie razem. Twój tatuś był jeździec, a ja piechur.

To jakież jegomość jest,—pan pułkownik, czy pan kapitan?

— Tylko major.

— A kiedy tatuś, słyszałem, mówił do jegomości: „Kochany szefie“...

— Byłem swego czasu pomocnikiem szefa sztabu w dywizji jednej pod generałem, nazwiskiem Kosiński, gdyśmy na Moskwę ciągnęli. Byłem także szefem bataljonu. Dlatego tatuś nazywał mię ze swej łaski „szefem“, bo u nas zawsze się tak do dawnych wojaków mówi: na kapitana,—„majorze“, a na majora —„panie szefie“... Taki już zwyczaj.

Hub rozważał powzięte wiadomości w milczeniu. Po chwili, z głębokiem przekonaniem, choć grzecznie i głosem pełnym szacunku oświadczył:

— Nie wiem, jak to można służyć w wojsku, być oficerem, a potem nie służyć. Jabym tam wiecznie służył!

Machnicki jakoś zawstydził się. Mówił z upokorzeniem:

— Czasami takie jest położenie, że służyć nie sposób...

— No, a dla czego?

— Jakżeby ci to wytłómaczyć? Mały jeszcze jesteś, przyjacielu. Nie mogę ci tego jeszcze wyłożyć.

— Ja rozumiem...

— Widzisz... Honor nie pozwala.

— Jakiż to jest ten „honor“, proszę jegomości? Tatko to samo mi mówił, że „honor“ nie pozwalał służyć. Ale ja nie rozumiem wcale takiego honoru.

— Tak... Widzisz,—dawniej naszym wodzem był wielki wojownik, Napoleon...

Hub wtulił głowę w ramiona, przyczał się, usłyszawszy to imię. Z zaiskrzonymi oczami szep-tem spytał:

— A jegomość pan go widział?

— Widziałem, kochanku.

— Blisko? Jak? Tak samo jak tatuś?

— Tak samo. Nawet-em z nim rozmawiał...

— Jegomość pan?.. A o czym? Kiedy?

— W izbie chłopskiej, daleko, w Rosji... Mapa leżała na stole, w piecu ogień się palił, iskry strzelały. Daleko wrzała bitwa. Pogrom... Pokazywałem mu na mapie miejsca, tłómaczyłem rozmaite rzeczy. On się pytał...

Machnicki nie dokończył zdania i poszedł dalej. Hub pobiegł za nim, wołając:

— Ale pan mi o tem honorze nie powiedział.

— O honorze...—mruknął Machnicki w zamysleniu.—To trudne dla ciebie, mój bracie, to trudne. Za malutki jesteś, żebym ci miał takimi sprawami głowinę zaprzętać.

— A kiedy ja rozumiem!

— Cóż ja z tobą mam począć? Dawniej był naszym wodzem wielki wojownik, Napoleon, a później został naszym wodzem nie wojownik, lecz mistrz na placu musztry. Ten wielki książę nie chciał w nas szanować nieszczęścia i nienawidził naszej czci.

— Czy to prawda, że ten wielki książę... ma nos mopsa, głos ropuchy a rzęsy jeża?

Twarz Machnickiego stała się szara, posępna i surowa. Oczy jego zaciągnęła ciemność. Mówił do dziecka:

— Nie mów o tem nigdy głośno, do nikogo, nigdy! Naucz się milczeć! Nie powtórzysz tego słowa już nigdy?

— Nie powtórzę.

— Jeżeli mi przyrzekniesz, że już nigdy nie będziesz tego głośno mówił, powiem ci, co to znaczy honor.

— Będę milczał.

— A więc... Byli oficerowie, co z Napoleonem odbyli pochody, bili się na południu i na północy w stu bitwach i co sami bywali wodzami. A kiedy weszli do wojska polskiego pod wielkim księciem, musieli występować na paradach na równi z nowozacieżnymi. Tych dawnych wojaków wódz naczelny nie lubił. Począł ich o byle frontowe przevinienie poniewierać, nieraz bardzo srogo. Był oficer Śląski, którego przed frontem skopał i skłuł ostrogą. Innych znieważył w taki sposób, że tylko krew mogła tę obelgę żołnierza zmazać. Tego nie bardzo zrozumiesz, ale tak było. Wyzwać na pojedynki wielkiego księcia za zniewagę nie mogli. Wystawić ojczyznę na zemstę za obicie w uniesieniu, w pasji — nie ważyli się. Nie mogąc żadną miarą zmyć zniewagi, ani żadną miarą nie mogąc jej na sobie przenieść, postanowili sami męczeńską śmiercią umierać. Skoro tedy wielki książę znowu

sponiewierał na placu jednego oficera, ten podszedł do barjery, wyciągnął szpadę, rękojeść oparł o barjerę i rzucił się na tę szpadę, aż go na wylot przeszła. Padł twarzą w piasek. Inni odbierali sobie życie pod pomnikiem króla Jana. Przed śmiercią pisali proste listy, adresowane do przyszłych Polaków pokoleń, tłumacząc, dla czego giną. Tak zginął Wilczek, Wodziński, Biesiekierski, Nowicki, dwaj bracia Trembińscy, Herman. Wszyscy oficerowie bataljonu pierwszego pułku strzelców pieszych postanowili zgładzić się dobrowolnie, odebrać sobie życie, gdy ich wielki książę niesprawiedliwie skarał. Chwila już na to była przeznaczona. Cofnęli wyrok swój na dobrowolną śmierć dopiero wówczas, gdy wielki książę cofnął rozkaz, który im uwłaczał. Pamiętaj ich nazwiska i raduj się, że byli na naszej ziemi, bo byli to ludzie waleczni, którzy honor wyżej cenili, niż życie, którzy polski honor zasłonili tarczami i obmyli własną krwią. Wiesz teraz, co jest honor?

— Wiem.

W wyobraźni dziecięcej ukazał się oficer, żywym krokiem biegnący do barjery na placu, z obnażoną w ręku szpadą. Oczy ujrzały, jak ów odwraca nagłym ruchem szpadę, kieruje ją ku piersi i w milczeniu radosnem na ostrze się rzuca. Zdało się dziecku, że mu nad głową skrzydła szumią... Wzrok się rozognił i włosy spłonęły jakby od ognia.

— A wielki księżę na to patrzył? — zapytał towarzysza.

Machnicki uśmiechnął się zjadliwie:

— Patrzył ze środka żółtolitego sztabu. Ale w nim musiało serce zemdleć i drzeć, jako liść, od tego widoku. Patrzyły bataljony ustawione w czworoboki. Wtedy to jam wyszedł z wojska. A twój tatuś to samo.

Białe od słońca, iskrzący się tysiącem blaszków, jasny dzień rozwidnił się nad przestworzem. Lśnienie srebrzystych lodów, sopli, przemarzłych kolein przecinało widownię w tysiącnych kierunkach. Puchy, zawisłe na prętach drzew i czubach krzaków, na żerdziach płotów, po krzyżach i kiściach bylin, poczęły osypywać się i dymić. Dolaływał skądś zdala radośny głos kwiczołów. Przemknęły jemiołuszki stadkiem barwistem, z drzewa na drzewo. Machnicki i Hub szli w milczeniu, ciesząc się niewysłowionem pięknem zimy.





# ŚMIERĆ WŁODZIA JASIOŁDA



Wkrótce po przyjeździe do Lwowa, stary pan Granowski, żyjący na razie w samotności, przypadkowo powziął wiadomość o Włodzimierzu Jasiółdzie. Ktoś, mający styczność z tajnymi organizacjami strzeleckimi, wspomniał w rozmowie, iż w szpitalu więziennym jest kilku legionistów, rodem z Królestwa. Inna znowu osoba wymieniła nazwisko „Jasiółd“, jako tego, który skazany jest na śmierć przez rząd wojenny moskiewski. Wyrok przez powieszenie nie był, jakoby, tylko dlatego wykonany, że ów Jasiółd był ciężko ranny w bitwie. Pan Granowski zabrał się niezwłocznie do dzieła. Za pomocą rubli, których nie szczędził, dotarł do źródła informacji zupełnie już nieplotkarskich i nieprzeinaczonych. Wynikła z nich wiadomość, że w istocie Włodzimierz Jasiółd, wzięty do niewoli w starciu, gdzieś nad Nidą, przy przesłuchaniach po fanfarońsku, zeznał, że jest „poddanym“ rosyjskim i okazał na dowód prawdy jakąś gimnazyalną matrykulę siedlecką, stwierdzającą tożsamość jego osoby. Wobec tego sąd wojenny skazał go na śmierć, jako buntownika, pojmanego

w szeregach nieprzyjacielskich, z bronią w ręku. Niepodobna było dotrzeć do samego szpitala, w którym Jasiołd leżał. Ale i tu znana moskiewska słabość utorowała drogę rublom pana Granowskiego. Z trudem, zwolna, pokonywując najróżnorodniejsze przeciwności, „dieduszka“ wpuszczony został do więziennego szpitala, który mieścił się nie w gmachu więziennym, lecz był więzieniem w styczności ze szpitalem powszechnie wojskowym, urządzonym w jednym z gmachów publicznych. Tylko wejście do oddziału, gdzie mieścili się chorzy więźniowie, morituri, było specjalnie i nadzwyczaj pilnie strzeżone przez rosyjskich żandarmów. Pan Granowski, po długim niewidzeniu, miał sposobność ujrzeć znowu granatowe mundury „oddzielnego korpusu“ i posłyszeć tkliwą melodię pobrękiwania ich ostróg. Na każdym piętrze wejścia do gmachu, na każdym załamaniu schodów i na każdej platformie, w każdej framudze drzwi i przy każdym oknie tkwił co najmniej jeden taki nadobny fijołek, albo przezornie barwiła się cała ich wiazanka. Jednakże serca tych aniołów stróżów Szczedrynowskich, czuwających nad cichością snów niewinnych dziewczątek, nie były kamienne i nieczułe na szelest „bumażek“. Temu „sinieńkaja“, a tamtemu „kraśnieńkaja“ uśmiech lubiej dobroci wywoływała z głębi serca na usta i przymykała oczy. Tak to pan Granowski dotarł aż do drzwi, doskonale obsadzonych przez kom-

plet dozorców i, jako bliski krewny Jasiołda, wpuszczony został do wnętrza. Znalazł się w izbie małej i stosunkowo bardzo czystej. Włodzimierz Jasiołd w swej kurtce strzeleckiej pół leżał, pół siedział w łóżku szpitalnem. Gdy pan Granowski wszedł i spojrzał, mróz ścisnął jego serce. Miał przed oczyma karykaturę, znikomy cień chłopca, którego znał w Krakowie. Ziemista, zielonawa bladość pokrywała twarz Włodzia, tak dalece schudzoną i wyciągniętą, że ledwie w niej można było poznać dawniejsze rysy. Białe, wyschnięte ręce nieruchomo leżały na kołdrze, a znać w nich było każdą kość i każde zgrubienie więzów. Dawno niestrzyżone włosy zwieszały się na czoło chłopca i modrymi kosmykami lgnęły do szyi. Na skroniach utworzyły się wklęsłe zapadliny, na policzkach brózdę głębokie, jak u starca, pod oczami sine, niemal czarne podkowyny. Gdy podniósł oczy na przywitanie gościa, który tyle poniósł trudów, żeby go zobaczyć, nie odmalowała się w nich radość, ani ulga. Kamienna obojętność i duma, zamknięta w obrębie kilku myśli, nie znikła w nich nawet wówczas, gdy na wargach grzeczność wycisnęła z wnętrza istoty uśmiech, zaiste, więzienny. Pan Granowski uścisnął zimne kości dłoni Jasiołda i usiłował coś skleić o dobrym wyglądzie „siostrzeńca”. Żandarm, stojący przy drzwiach, pokaszliwał w kułak, cichutko brząkał ostrogami do taktu, czy w myśl jakiejś melodyi, przestępując z nogi

na nogę. Jasiołd skinał oczyma. Żywiej poruszyły się jego wargi.

— Mam się już znacznie lepiej,—mówił.—Rany mi się goją.

— A jakie masz rany, Włodziu?

— Żebra miałem zwieruszone. Dwa mi wypilowali, bo wisiały nad płucami licho wie po jakiemu, a dwa się przylepiły i teraz już siedzą doskonale. W ramieniu miałem kilka pchnięć, ale nie na wyłot, tylko przez płaszcz, i te mię jakoś w środku poturbowały. Ale już i krwawienia z płuc ustały. Tylko że jeszcze żadną miarą na nogach stać nie mogę.

— E, toć osłabienie, naturalne po takich biedach. Ale to przejdzie.

— No, to samo i doktor mówi!

— Jakież to doktor?

— Ten, co mi żebra piłował. Przecie niedługo trzeba będzie chodzić i niedaleko iść. Więc o to tylko, żeby można twardym krokiem dojść pod „pierekładinkę“.

— Nie myśl-no, dziecko o tem!

— A o czemże mam myśleć?—zapytał Jasiołd pogodnie i spokojnie.

Podniósł oczy na swego gościa i przez chwilę trzymał żrenice utopione w jego żrenicach. Och, wtedy pan Granowski zadrżał w sobie! Zaiste, o czemże to miał myśleć ten młodzieniec, jak nie o śmierci swej na szubienicy? Chciał wykonać

swój czyn z mocą, godną żołnierza, i lękał się wewnętrznie, iż nogi ugną się, jak kartoflane badyle, gdy na nich zechce stanąć, choćby najsilniejszym duchem przejęty. A Moskał, który będzie stryiczek zakładał, pomyśli, że to ze strachu. Oficer, który mu czytać będzie wyrok, roześmieje się z męstwa polskiego młodziana. Więc leczył się forsownie, jadł dużo i łapczywie, usiłował spać na oba uszy, od wieczora do świtu, ażeby nabrać tęgości w kolanach, żelaznej w lędźwiach siły, żeby po dawnemu i po swojemu wyprostować się w krzyżu, stanąć, jak struna, i twardo, wyniośle, hardo wzniesć czaszkę na tym karku, który ma ścisnąć pętlica. Tymczasem, — o niedolo! — z dnia na dzień gasły siły, uciekało w jakąś przepaść serce w piersiach, nikło ciało przedramienia i łydek, a sama jedna goła kość kantami i prostokątami wyrzynała się z pod zeschniętej skóry. Na nogach o własnej sile ani przez sekundę nie mógł się utrzymać. Kręgosłup w kabłąk się krzywił, a głowa leżała na piersiach. W piersi zaś, zamiast swobodnego oddechu, świst metaliczny. W kaszlu strzępy błon i tkanek, zamiast plwociny, odchodzą. Sen uciekł za dziesiątą górę i za dziesiątą rzekę z tej izby przekłętej i nigdy już prawie nie zamykał rozwartych powiek. Wytrzeźwione oczy patrzyły w straszliwą grę szatana, który wygrał swą sztukę, i w ciągu nocy nieskończenie długich naśmiewał się z bezsiły polskiego harcerza...



W ciągu niedługiego momentu milczenia i rozważania pan Granowski zstąpił krok za krokiem w bezdenną Jasiołdową ciemnicę. Wejrzał w bezsenną noc jego cierpień straszliwych... W mgnieniu żrenicy pan Granowski zdecydował się czynić po swojemu: ratować ciało. Rzekł tedy szybko, żeby Moskał pilnujący niewszystko mógł zrozumieć:

— Jużś zrobił swoje, Włodziu! Jużś zrobił! Daj mi się teraz uratować!

— Jakże to uratować?

— Tylko tyle.. Będiesz mówił tak: — była dawniej między nami nad Nidą w plutonie zmowa, iż, wzięci do niewoli, będziemy mówić, żeśmy rosyjscy poddani. Dla fanfaronady, dla szukania sławnej, bohaterskiej śmierci, dla rumoru na całą Polskę. Ale teraz powiesz całą prawdę: jesteś rodem z Galicyi, z miasta Stanisławowa, nazywasz się Wiktor Piekoszewski.

Jasiołd siedział ze zwieszoną głową, nieruchomy i niemy. Krzyż jego był tak zgięty w zupełny pałak, iż twarzy nie było widać, tylko sam wierzch czaszki, pokryty zwichrzonymi włosami. Pan Granowski mówił coraz goręcej, zachęcony, jako dobrą oznaką, tem jego milczeniem:

— Zażadasz posłuchania i tyle tylko powiesz. Pamiętaj: jesteś ze Stanisławowa, nazwisko Wiktor Piekoszewski, syn urzędnika ze starostwa. Będiesz miał taki paszport, ja go już trzymam w ręku. Słyszysz, co mówię? Powiesz tak?

— Nie powiem! — wyszedł głos z ust, zwie-  
szonych kędyś na wysokości serca.

— Dlaczego? Włodziu!

— Dlatego, że ja jestem skaut. Zastępowy  
w siedleckim plutonie. Nam skautom kłamać nie  
wolno.

— Zastanów się! Włodziu!

— Na mnie teraz całe polskie harcerstwo po-  
lega i patrzy.

— Jużes wszystko zrobił, co skaut powinien  
był zrobić. Ja ci na to honorem przysięgam! Ja ci  
przysięgam na Boga!

— Czegóż pan jeszcze chcesz ode mnie?

— Spełń to, co ci mówiłem! Spełnisz?

— Nie.

— Zaklinam cię na imię matki!

— Jeżeli pan po to do mnie przyszedł, żeby  
mnie matką straszyć i nią mi serce łamać... Mnie  
serce z piersi ucieka... A on mi matkę wypomina!  
Daj mi pan jakiego wina, albo jakiej mocnej tru-  
cizny, jakiej morfiny, strychniny, czy arszeniku, że-  
bym mógł się podźwignąć, stanąć i iść ze łbem  
góry zadartym, o własnych siłach pod stryk! Łba  
nie mogę podźwignąć, nogi się chwieją...

— Nad matką zmiłuj się, Włodziu!

Chory zakaszał się, ochryplł, zaniemówił. Pan  
Granowski jeszcze raz z głęboką rozpaczą, z naj-  
pokorniejszem błaganiem zawołał z duszy:

— Włodziu!

Jasiołd wydał ze siebie bezsilny a obronny, straszny, goły krzyk.

Długo mocował się i szamotał, bezwładną prawą rękę, jak wiosło przywiązane do ramienia, dzwigał i pchał pod siebie. Potem z wysiłkiem uniósł się na łokciu i powalił na bok. Lewą ręką oddarł kołdrę i wykonał prostacki ordynarny gest. Nie mógł mówić. Pan Granowski ujrzał z przerażeniem poślednią, wstydliwą część nie ciała, lecz kościotrupa. Zamilkł, i z rozwartemi stojąc ustami, gdy spojrzał na pusty kąt, utworzony przez kości miednicy i nogi. Jasiołd milczał. Bezwładna jego dłoń zamierzyła naciągnąć kołdrę, ale ustała w pół drogi i zwisała krzywo nad próżnią.

Żandarm brząknął ostrogami i wycedził przez zęby:

— K a ż i ś... z a s n u ł?...

Jasiołd, nie rozwierając powiek, mruknął:

— Ej, ty, żandarm!

— A ś?

— Wyprowadź pana!..

— Cztoż, b a r i n, p o j d i o m, c z t o l i?—  
uśmiechnął się ironicznie podoficer, wyszczerzając swe zdrowe zęby.

— Idę już... —mówił pan Granowski, scierając rosę kroplistych łez, która mu twarz zalała.

— Czudak!..—westchnął żandarm w korytarzu, zamykając drzwi izby na doskonały zamek.

. . . . .

We dwa dni później pan Granowski usłyszał na korytarzu swego mieszkania ciche, charakterystyczne ostróg pobrzękiwanie. Tenże podoficer żandarmeryi stanął we drzwiach i rzekł z ukłonem, jakby dawał znać o potocznem zdarzeniu, iż „rodstwiennik“ w nocy zakończył życie. Pan Granowski pojechał do szpitala niezwłocznie. Nie stawiano mu już teraz trudności i odrazu mógł wejść do owej szpitalnej celki. Zwłoki Włodzia Jasiolda były już ubrane w legionową kurtkę, spodnie i buty. Białe jego ręce leżały złożone na piersiach. Nikt mu z żandarmów nie zamknął oczu, ani ust. Te usta małe się stały, jak u dziesięcioletniego chłopaczka, a prześliczne, równe zęby świeciły się w nich, jak szereg kryształów białego lodu. Śmiertelnie blada skóra górnej i dolnej wargi pokryła się najdelikatniejszym mchem młodocianego zarostu. Stary człowiek nachylił się i patrzył w źrenice, szeroko w oczach rozplynięte, obrócone w stronę nieba, we wzrok, który na ziemi już nic nie widzi, lecz, zaprawdę, widzi Boga. Stare serce, tłukące się w piersiach, z nagłą posłyszało krzyk otwartych ust, który już z ziemi odleciał i dobiegł do uszu Boga. Przychodzień upadł na kolana i bezwładnem czołem, bolejącemi ustami dopadł kolan umarłego młodzieńca. Ach, były nareszcie twarde, żelazne, sztywnie potężne, nieugięte nogi junaka! Bezsilne kolana i chwiejne lędźwie mogły już na-

reszcie przez wieki stać niewzruszenie pod szubienicą!

Nie zgięłyby się w obliczu czyhającego sztyderstwa stu milionów Moskali! Ale wróg odszedł... Obojętna wieczność zatoczyła wokół zwłok swe nieprzebyte koło. Tryumf prawdy stał się niewidoczny, milczący i na nic nikomu,—jak zawsze.

SAMBÓR I MESTWIN





Skądkolwiek objąć okiem całość gdańskiego wybrzeża, z Brzeźna, czy z Oksywskiej kępy, z pełni morza, czy z wysokiego radłowskiego szczytu, zewsząd ponad modremi smugami lasów i pozłotą zbóż na falistych pagórkach, ukazuje się wspólna wyniosła korona dwu buków pod Wito-minem. Samotne olbrzymy stoją na stromej górze, której jedną połowę okrywa ugór rdzawy, od mietlicy i macierzanki, a drugą złocista żytnia powłoka. Korzenie ich uszły w głąb, aż do serca duny, gdzie śnią niezmierne wapienne pokłady dna nie-gdyś oceanu. Pnie jakby ze stali ukute okryły się pancierzami, które osnuła rdza, śniedź i suchy mech, a zbrózdziły chyże płomienie piorunów, co się po tej niezłomnie odpornej mocy ześlizgnęły i u podnoża jej zagasły. Długotrwałe deszcze, trzaskające mrozy, dzikie wichry, z lodowych obszarów mórz północy lecące ryły na tych śniatach tajemne pismo przyrody, a człowiek przechodni skrobał tu byle rylcem pierwsze litery swego imienia i nazwiska, serce przebite strzałą, krzyże i niewyraźne znaki, którymi chciał upamiętnić motyli swój pobyt

na ziemi, zaznaczyć chociaż w ten sposób pasye swoje, utrwalić i odtworzyć wiary, radości i trwogi, jakkolwiek zostawić po sobie znak, któryby, sprostą długowieczności samotnych braci, na samotnej górze. Konary potężniejszego z dwu buków rozwidlają się wysoko w istny las, rozpadają w samoswoją puszcę, a najwyższe gałęzie, pędy, pręty i witki trwają splot w splot z gałęzmi młodszego brata pod pospólnym bezmiarem liści. Strażują tam wśród wzgórz i dolin, ponad sosnowymi i świerkowymi lasami, dwaj zapomniani przez świat księżęta kaszubskiej ziemi. Któż to wie,—może jednemu z nich na imię Sambor,—drugiemu—Mestwin...

Widzą ze swojej wyniosłej kopy wzrokiem niedościgłym dla umysłu człowieka, jak daleko, za górami i lasami wzdyma się pod nienawiścią chmur ciemna denega wicherzatego morza, a twardem wnętrznem tajnie czują połysk błyskawicy, kiedy migota między otchłanią nieba i otchłanią wodnego oddechu. Słyszą w sposób niepojęty dla zmysłów człowieka, jak się budzi z nicości za daleki łądami potężny grzmot i na skrzydłach szalonej burzy leci w krainę. Wtedy bez drżenia czuwają dwaj nieruchomi i mężni w głuchem milczeniu. A gdy uderza w nich dziki wicher, śpiewają samowtór, samym sobie pieśń, która nie może się zmieścić w ubogiej mowie ludzi. W ich pieśni zawiera się wszystko. Tęskna pochwała piękności letniego nieba, gdy na wysokościach cicho się niosą

wielobarwne obłoki ponad niską ziemią, co łaanami dostającego zboża chwieje się za wiatrami — i powieść ponura o morskiej głębi, gdzie się wirem nieskończonym słone i słodkie wody zwierają, tworząc pomiędzy sobą kolk niedosięgly, czeluść w dnie, w której na samotne męstwo rybaka straszliwa zguba czatuje. Zawiera się w niej wspomnienie głębokiej, cichej nocy, gdy śpiew słowiczy napęlnia rozkoszą góry—doliny,—i widok strumienia o zachodniej godzinie, jak się bładzikiem w łąkach dalekich, wśród żółtych piasków i rumianych koniczyn przewija. Widać w szumie wspaniałych drzew wschód codzienny boskiego światła nad gładą morskiej topieli, w zawsze jednakim, a nigdy nie szczuplejącym przepychu promieni, — i śmierć okrętu, gdy go wściekła zemsta otchłani, wydiera radosnym powierzchniom, a napęlnia dzikim pluskiem, chichotem zagłady. Przeszłość i przyszłość zawiera się w szumie tym,—dola—niedola, straszna niepamięć żywych po klęsce wiecznego snu tych, co muszą bez końca, nieruchomo, a nadaremnie czekać we wnętrzu czarnej ziemi, na pocałunek ukochania, — i to, co jest najwyższe, jedyne, a ze wszystkiego ostatnie — szczęście istnienia.

Gdyby człowiek był w stanie podźwignąć ciężki swój rozum na stopień wyższy, pojąć zapach kwiatów, pogwarek zbóż, poświst wiatru, gędźbą ptasia; instynkt ojcowski i macierzyński zwierząt, możeby usłyszał i zrozumiał pieśń dwu

buków na witomińskiej górze. Gdyby mógł podźwignąć się duszą swą od ugorów ziemi, od twardej pracy na żyto, i wiekuiście nędznej walki o jadło, gdyby mógł unieść się nad ziemię i stanąć na wysokości konarów bukowych, bratnio splecionych... Spojrzałby stamtąd jasnowidzącymi oczyma w śmieszne przyczyny zwad i w dzieje zbrodni, zwierząt człowieczych, które nie cenią cudu istnienia, zaprzątnięte wspomnieniem wiekuistej krzywdy i planowaniem wiekuistego odwetu. Usłyszałby tam czującą swoją wszechwiedzą ów najstraszliwszy dziejowy dokument, z pomroki czasów na łzach niewygasłego pomstowania wypływający w zwrotkach śpiewanki kaszubskiego poety:

„Ziuziu, Ziuziu, mały senku,  
Zabiele cy ojca w renku,  
Zabiele go za drudziemi  
Toporami żelaznemi.  
A w Raduni krwawo woda,  
Szkoda ojca, żeco szkoda“...

Ale może wówczas człowiek byłby także zdolny do tego, ażeby pod niebem westchnąć niewinnie, jak wzdycha drzewo,—ażeby oderwać ręce od tworzywa narzędzi mordy,—ażeby przetrzeć oczy, zalane juchą wiecznepamietnej krzywdy praszczurów. Może wtedy stałby się zdolnym do tego, by spojrzeć w oczy wroga, zalane krwią nienawiści, wyciągnąć i po wiekach wieków wymówić wyraz, zapomniany w języku człowieczym:—o bracie!...

## SPIS RZECZY

	Str
Wstęp. . . . .	5
Na Podlasiu (MOGIŁA). . . . .	7
Wyprawa na San (POPIOŁY). . . . .	21
Wilki " . . . . .	37
Potyczka " . . . . .	31
Widziadła " . . . . .	65
Zamieć (WSZYSTKO I NIC). . . . .	81
Poranek zimowy " " . . . . .	99
Honor " " . . . . .	109
Śmierć Włodzia Jasiołda (CHARITAS). . . . .	119
Sambor i Mestwin. . . . .	131



# TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

## WYDAWNICTWA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

Aanrud. *Historia o Cesi sierocie*

Andersen. *Baśnie. Z ilustracyami E. Dulaca*

Arceydziała *literatur obcych. W wyborze i układzie dla  
użytku szkolnego pod redakcyą A. Boleskiego i K. Drze-  
wieckiego zeszyt I-y Homer. Iljada—Odyseja*

Askenazy S. Pr. *Napoleon a Polska T. I Upadek Polski a Francja*

— — — II *Bonaparte a Legjony*

— — — III

— — — I—III *w oprawie*

Barrie *Przygody Piotrusia Pana. Z ilustracyami A. Rackhama*

Bobińska H. *O szczęśliwym chłopcu. Powieść dla dzieci*

Candèze E. *Przygody świerszcza. Opow. przyr. dla młodzieży*

Choromański Ł. *Dziwne przygody. Opow. dla małych dzieci*

Dante Alighieri. *Vita Nuova (Nowe Życie) przełożył  
Artur Górski*

Dąbrowska M. *Dzieci Ojczyzny. Opow. hist. dla młodzieży*

— *Dzieje Naszej Ojczyzny*

— *O Zjednoczonej Polsce*

Demolder E. *Serce ubogich. Opow. dla młodzieży*

Drzewiecki K. *Spacery z panem Karolem. Opow. dla dzieci*

Heden Van. *Mały Janek. Książeczka dla dzieci*

Ernst O. *Historja młodego życia. Powieść dla młodzieży*

Ewald K. *Ciche jezioro. Dwunożne. Dwa opowiad. przyr. dla  
młodzieży*

Filipkiewicz F. *Sztuka dla dzieci. Teka zaw. sześć barwn.  
obrazków*

France Anatol. *Na kwiaty. Książeczka dla dzieci*

France Anatol. *Zazulka. Opow. dla młodzieży*



- Gąsiorowska N. Książę Józef
- Geijerstam G. Moi chłopcy
- Grabiec J. Powstanie Styczniowe 1863—1864
- Dzieje Polski Niepodległej
- Dzieje porozbiorowe Narodu Polskiego
- Hertz B. Henryś. Powieść dla dzieci
- Przygody Magdusi. Powieść dla dzieci
- Hryncewicz-Talko I. Prof. Człowiek na ziemiach naszych
- Jabłczyński F. U stóp Partenonu. Opow. z dz. Grecji dla młodzieży.
- Jak to na wsi bywa. Książka obrazkowa dla dzieci
- Konopnicka M. Jak się dzieci w Bronowie bawiły
- Korczak J. Józki, Jaśki i Franki
- Mośki, Joski i Srule
- Sława
- Krasiński M. Modlitwy
- Lagerlöff Selma. Cudowna podróż cz. I II i III
- Lazarusówna F. Moja gromadka. Opow. dla dzieci
- Leonardo de Vinci. O malarstwie przeł. L. Staff.
- Leśmian B. Klechdy sezamowe
- Przygody Sindbada żeglarka
- Marya Markowska. Przejdziem Wisłę, przejeziem Wartę.  
Powieść historyczna.
- Gęśliki grają. Baśnie i podania.
- Za górami, za lasami. „ „
- Mickiewicz Ad. Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego
- Molnar Gr. Chłopcy z placu broni. Pow. dla młodzieży
- Mortkowiczowa J. Przygody w lesie. Bajki dla dzieci
- Radosny dzień. Książka dla dzieci
- Stacho

- Mortkowiczowa J.** Zaczarowana wyspa. Bajki dla dzieci  
 — Z naszej szkoły. Opow. o tem, jak dzieci  
 — pracowały  
 — Z naszej szkoły. Serja druga
- Mortkowiczowa J. i Sempołowska S.** W pamiętnym roku  
 wojny. Książka zbiorowa dla młodzieży. Ilustracje  
 S. Norblina
- O Janku Marynarzu.** Z obrazkami dla małych dzieci
- Orsza H.** Na ziemi polskiej przed wielu laty
- Ostrowska Br.** Książeczka Halusi.  
 — O Janku Płanetniku
- Panteon.** A Mickiewicz. Księginarodu i pielgrzymstwa polskiego  
 — J. Słowacki. Genezis z Ducha  
 — Z. Krasiński. Modlitwy  
 — Kwiatki św. Franciszka z Asyżu przekł. L. Staffa  
 — Leonardo da Vinci. O malarstwie; przełożył L. Staff
- Pastorałka** złożona z 7 kolend Rys. Z. Lubańskiej.
- Plutarch Polski.** Hugo Kołłątaj przez B. Limanowskiego  
 — — Tadeusz Kościuszko „ „  
 — — Walerjan Łukasiński „ „  
 — — Stanisław Staszic „ „  
 — — Romuald Traugutt „ „
- Przyjaciele Zucha.** Książka obrazkowa dla małych dzieci
- Rederowa M.** Słojd dla młodszych dzieci. Roboty z rurek  
 i kartonu
- Rogoszówna Z.** Dziecinny dwór  
 — Kolorowe bajeczki z ilustracjami Józewskiej  
 — Pisklęta. Nowele
- Rogoszówna Z. i Rogosz-Pieńkowska J.** W słoneczku. Poezje  
 dla dzieci i młodzieży
- Rogosz Pięnkowska J.** Mały gospodarz. Książka ilustrowana  
 dla małych dzieci.

- Rolland R.** Beethoven przeł. M. Zabojecka
- Selmer Gjems Agot.** Dzieciństwo mateczki
- Nad dalekim, cichym fiordem, ilustr.  
C. Larsona
- Siostrzyczka. Ilustr. C. Larsona
- Sempołowska S. i Unsztlicht-Bernsteinowa J.** Dla przyszłości.  
Czytania dla młodzieży i dla dorosłych
- cz. I. My—ludzie i przyroda
- II. Religja w życiu ludzkości
- III. Człowieki ludzie. (Za wolność)
- Siedlecki M. Prof.** Jawa. Przyroda i sztuka. Uwagi z podróży
- Sieroszewski W.** Bajki
- Zamorski Djabeł. Powieść dla młodzieży
- Słowski Ed.** Jak to na wojence...
- Słowacki J.** Genezis z Ducha
- Smoleński J. dr.** Krajobraz Polski
- Szarzyński J. E.** W Karpatach. Powieść dla młodzieży
- Szczęśny Al.** Kolorowe okienko. Bajki dla dzieci
- Pieśń białego domu. Książka dla młodzieży
- Thackeray. W.** Pierścień i róża
- Trojanowski W.** Malarstwo Włoskie z 40 planszami
- Trzebiński M.** Stara Warszawa. Album
- Żeromski S.** Dla młodzieży. Wybór z pism. Książka I
- — — II
- Duma o hetmanie
- Echa leśne
- Popioły; wyd. nowe 3 tomy
- Syzyfowe prace
- Wisła
- Wszystko i nic. „Popiołów — sprawa druga“



## UTWORY STEFANA ŻEROMSKIEGO.

- Walka z Szatanem I. Nawracanie Judasza. Powieść. 1916.  
Walka z Szatanem II. Zamięć. Powieść. 1916.  
Walka z Szatanem III. Caritas. Powieść. 1919.  
Aryman mści się. — Godzina. Wydanie drugie. 1911.  
Biała rękawiczka. Sztuka w 3 aktach, z prologiem i epilogiem. 1921.  
Dla młodzieży. Książka I. 1921.  
Dla młodzieży. Książka II. 1921.  
Duma o hetmanie. Wydanie czwarte. 1920.  
Dzieje grzechu. Powieść. 2 tomy. Wydanie piąte. 1920.  
Echa leśne. 1920.  
Inter Arma. Warszawa. 1920.  
Ludzie bezdomni. Powieść. 2 tomy. Wydanie piąte. 1911.  
Opowiadania. (Doktor Piotr. — Cokolwiek się zdarzy. — Ananke. — Zmierzch. — Złe przeczucie. — Po Sedan. — Zapomnienie. — Pokusa. — Siłaczka. — Oko za oko. — Niedziela. — Z dziennika). Wydanie czwarte. 1910.  
O przyszość Rapperswilu. Kraków. 1912.  
Organizacja inteligencji zawodowej. Warszawa. 1919.  
Początek świata pracy. Kraków. 1919.  
Ponad śnieg bielszym się stanę. Warszawa. 1920.  
Popioły. Powieść z końca XVIII i początku XIX wieku. 3 tomy. Wydanie czwarte, drukowane w piątym roku wojny wszechświatowej.  
Powieść o Udałym Walgierzu. Wydanie nowe. 1918.  
Projekt Akademii Literatury Polskiej. Warszawa. 1918.  
Promień. Powieść. Wydanie czwarte. 1910.  
Rozdziobią nas kruki, wrony. Wydanie trzecie z rysunkami Janowskiego. 1905.  
Róża. Dramat niesceniczny. Wydanie drugie. 1910.  
Sen o szpadzie. Kraków. 1911.  
Sen o szpadzie i sen o chlebie. Zakopane. 1916.  
Siłaczka. — Na pokładzie. (B. U. L. Nr. 5). 1907.  
Słowo o Bandosie. Wydanie nowe. 1920.  
Sulkowski. Tragedya. Wydanie drugie. 1910.  
Syzyfowe prace. Powieść. Wydanie nowe. 1919.  
Uroda Życia. Powieść. 2 tomy. Wydanie nowe 1920.  
Utwory powieściowe. (Na pokładzie. — O żołnierzu tułacz. — Tabu. — Cienie. — Kara. — Legenda o bracie leśnym). Wydanie czwarte. 1910.  
Wierna rzeka. Klechda. 1913.  
Wisła. Warszawa 1920. Wydanie drugie.  
Wszystko i nic. Warszawa. 1919.  
Zmierzch. — Cokolwiek się zdarzy. (B. U. L. Nr. 41) 1907.







